

Numer indeksu 37 193 PL ISSN 0238-9045

Cena 7000 zł

POMERANIA

NR 9 (233)

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

WRZESIEŃ 1992



SEN O DYKTATURZE • POŻEGNANIE ZE SŁOWIŃCAMI
JAKA JESTEŚ SZKOŁO? • MIŁOSIERNI BRACIA

SEN O DYKTATURZE

na górgo

Ileż to ludzi uczy się historii po to, by w karykaturalnej formie przywoływać jej najgorsze fragmenty. Upiory przeszłości, jak nacjonalizm i rasizm, uwolniły hamulce narodów byłej Jugosławii, pogrążając ją w bezmyślnej i okrutnej wojnie. Tam jest już więcej ludzi w koszarach i obozach niż w kościołach. To budzi niepokój, a w starszym pokoleniu wyzwała strach, bo zbrodnica wojna toczy się w środku niby ucywilizowanej Europy.

Niepokój budzi również to, co dzieje się w Niemieckiej Republice Federalnej, a szczególnie w nowych landach, które do niedawna tworzyły Niemiecką Republikę Demokratyczną. Prasa niemiecka i polska regularnie informuje o pogromach azylantów i obcokrajowców pod dobrze znanymi z przeszłości hasłami: „Niemcy dla Niemców”, „Żydzi i obcokrajowcy precz!”. Rozboje w Rostocku i podpalenie domu azylantów w dzielnicy Lichtenhagen należą do największych w powojennych Niemczech akcji młodych nazistów i skinheadów, wcześniej z wyrafinowaniem zaplanowanych oraz sprawnie przeprowadzonych z nieznaną dotychczas brutalnością. W pierwszej fazie rozruchów w Rostocku policja zachowywała się biernie. Również mieszkańcy Lichtenhagen oklaskiwali nazistów i zachęcali ich do ataku na azylantów.

Wydarzenia w Rostocku były sygnałem dla nazistów do zaatakowania azylantów i obcokrajowców, w tym Polaków pracujących na kontrakcie, w wielu miastach RFN, przede wszystkim w nowych landach — Meklemburgii, Brandenburgii, Saksonii i Saksonii-Anhalt. Kanclerz Helmut Kohl potępił te ekscesy, prasa niemiecka bije na alarm, odbywają się demonstracje, organizowane przez rozmaite związki i organizacje antyfaszystowskie. Nie wolno zatem rozciągać szowinistycznych i rasistowskich burd na naród niemiecki, ani alarmować, że wszyscy Niemcy chcą odrodzenia narodowego socjalizmu, który mógłby się stać powtórką z brunatnej historii. Wszystko wskazuje na to, iż się nie stanie. Trzeba jednakże się zastanowić, dlaczego w ostatnich latach właśnie w Niemczech naziści dają o sobie znać coraz częściej, coraz liczniej i coraz brutalniej.

W czerwcu skrajnie prawicowi republikanie Franza Schoenhübara powołali organizację Młodzież Republikańska, która obrala kurs zdecydowanie nazistowski, co zaniepokoiło samego przywódcę republikańców. Szczególnie berlińska organizacja, dowodzona przez 21-letniego Franka Seiferta, wyróżnia się szowinizmem narodowym i z powodzeniem zdobywa zwolenników w nowych landach. To jest załączek jeszcze jednej ekstremy.

Prawdziwy ruch nazistowski w Niemczech, odwołujący się do tradycji hitlerowskich i przejmujący symbole Trzeciej Rzeszy, liczy już kilka tysięcy aktywnych członków. Skupiają się oni w konspiracyjnej organizacji Wspólnota Ideologiczna Nowego Frontu, której przewodzą: Christian Worch z Hamburga, Gottfried Kuessel rodem z Austrii i Arnulf Priem z Berlina. Wspólnota ta bez zastrzeżeń wpisała w swój program podstawowe wartości hitlerowskiej partii NSDAP, jak nienawiść rasowa i ślepe posłuszeństwo przełożonym, a także dążenie do stworzenia Wielkich Niemiec rządzonych silną ręką. Właśnie ta organizacja z Christianem Worchem jest inicjatorem i wykonawcą większości najbardziej brutalnych napadów na obcokrajowców w ostatnim czasie w Niemczech. Posiada ona doskonale wyszkolone i uzbrojone bojówki, które prasa niemiecka porównuje z zawodowymi bandami. To takie współczesne SA - oddziały szturmowe.

Trudna sytuacja gospodarcza w nowych landach, azylanci i obcokrajowcy rzekomo powiększający bezrobocie i z pewnością obciążający budżet socjalny, to tylko pretekst do powstawania coraz liczniejszych grup faszystowskich. Główna przyczyna tkwi w tym, o czym wspomniał burmistrz Rostocku, Klaus Kiliman, że „społeczeństwo nowych landów jest chore duchowo”. Ono nie wie, jak żyć w demokracji i racjonalnie z niej korzystać. Krótki okres Republiki Weimarskiej, pogrążonej w kryzysie gospodarczym i zwalczającej postanowienia traktatu wersalskiego, nie sprzyjał demokratycznym przeobrażeniom wewnątrz państwa i w umysłach jego obywateli. Potem była dyktatura hitlerowska, a po niej reżim Ulbrichta i Honeckera. Dla wschodnich Niemców nie miało większego znaczenia czy dyktatura była brunatna, czy czerwona, ważny był porządek oraz narzucone wzorce myślenia i postępowania, którym się bezwzględnie podporządkowywali. To było wygodne. Wymagano od nich tylko lojalności i potakiwania: jawohl! — tak jest! Życie było proste, zwłaszcza że obywatele NRD, rozgrzeszeni z hitlerowskiej przeszłości, nie garbili się pod ciężarem odpowiedzialności.

Negatywne obciążenia systemu pruskiego, w którym państwo było celem nadrzędnym, i dyktatury, w której wódz i naród skazyli umysły na całe pokolenia, dają teraz znać o sobie w wyładowaniach nacjonalistycznych. Rzeczywistość jest bowiem tworzywem ludzkiego doświadczenia. Grupy Niemców, przeważnie młodych (15-35 lat) przyjęły fatalistyczny pogląd na historię. Odgrzewają więc ideologię siły przed prawem.

Część Niemców sądzi, że — jak pisze politolog amerykański Arthur M. Schlesinger — mordując heretyków zbawiają świat i przede wszystkim siebie. Nikogo nie zbawia. Grupy nazistowskie w Niemczech wystawiają Niemcom ponownie świadectwo hańby. Co prawda nie ma podstaw do twierdzenia, że w Niemczech odrodzi się w jakiejś formie dyktatura, jednak naród niemiecki musi sam sobie poradzić z jawnie odradzającym się w ich kraju faszyzmem. My zaś możemy i musimy mówić wyraźnie o niebezpieczeństwie wskrzeszania ducha Hitlera za Odrą.

6.09.1992

Tadeusz Bohdan

POMIERANIA

Nr 9 (233) Rok zał. 1963

SÉWNIK 1992

Tadeusz Bolduan		Sen o dyktaturze. <i>Na gorąco</i>
Tadeusz Bolduan	2	Pożegnanie ze Słowińcami
Zygmunt Szultka	5	Nazwa „Słowińcy” — prawda czy fikcja?
Edward Breza	7	Konferencja słowińska
Eugeniusz Gołąbk	9	Na rozdrogach. <i>Przëscyganie czasu</i>
Stanisław Pestka	10	Co dzieje się w szkole
rozmawia z Danutą Kledzik		
Jarosław Kordziński	14	„Wspólne dobro całego społeczeństwa”
Krzysztof Grabowski	15	Drogi i bezdroża wiejskiej szkoły
Stanisław Janke	16	Zakorzenie
Tadeusz Bolduan	18	Historyk w sutannie. <i>Skra Ormuzdowa</i>
Leon Reszka	20	Z bożego daru
Jan Drzeżdżon	22	Na Glinicy. <i>Ma z Gustę (4)</i>
Jerzy Samp	24	Miłosierni bracia z Psiego Zakątka
Marek Latoszek	26	Gmina i miasto Puck. <i>Alfabet kaszubski</i>
Edward Breza	28	Czarnowscy i ich przydomki szlacheckie
Hërszów Gust	30	Biôłé bocóné
Alojzy Nagel	31	Biskup Dominik; Człowiek
Kreban z Milachowa	32	Otmikac zdrzenié
Stanisław Janke	33	Kaszubski solista
Stanisław Pestka	34	W kartuskim norceku
Zygmunt Szultka	36	Kaszëbskô Biblëjô. IV Ewanjelje
Marek Cybulski	36	Języki zachodniosłowiańskie
Edward Breza	37	Duszpasterz i badacz dziejów
	38	Klëka
K.O.	42	Kwidzyn. <i>Herby miast pomorskich</i>

Na okładce: „Chrystus Frasobliwy” Apolinarego Pastwy. Fot. R. Petraitis

WYDAWCA
Zarząd Główny
Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego

ADRES REDAKCJI
Targ Drzewny 3/7, 80-886 Gdańsk
tel. 31-71-33 i 31-50-41 w. 268

KONTO
PKO Gdańsk 19510-5890-132

REDAKCJA: Bogumiła Cirocka, Stanisław Janke, Stanisław Pestka
(redaktor naczelny), Krystyna Puzdrowska (sekretarz redakcji).
OPRACOWANIE GRAFICZNE: Arkadiusz Staniszewski.
KOREKTA: Maria Szrajber. KOLEGIUM: Eugeniusz Gołąbk, Jerzy
Kiedrowski, Kazimierz Ostrowski, Maria Pająkowska, Wiktor
Pepliński, Jerzy Samp, Brunon Synak, Edmund Szczesiak.
Redakcja zastrzega sobie prawo skracania artykułów oraz zmiany
tytułów.
Druk: Polsko-Amerykańskie Towarzystwo Prasowe, Drukarnia w Gdańsku



POŻEGNANIE ZE SŁOWIŃCAMI

W kwietniu 1991 roku Telewizja Polska wyemitowała reportaż Mariana Kubery pt. „Ostatnia karta — Słowińcy”, w którym przedstawiłem tragiczne losy Słowińców w latach powojennych. Zrodziła się wtedy myśl, żeby pojechać do Republiki Federalnej Niemiec i tam odszukać tych, którzy w początkach lat siedemdziesiątych zwartymi grupami opuścili rodzinne Kluki nad jeziorem Łebsko. Pomysł zrealizowano po roku. Na reportaż do Hamburga wyjechała ekipa telewizyjna w składzie: Marian Kubera — reżyser z Warszawy, Stefan Czyżewski — operator z Łodzi i Włodzimierz Dembicki — operator dźwięku z Gdańska. Towarzyszyłem im z niepokojem, czy Słowińcy zechcą z nami rozmawiać po ciężkich przeżyciach w Klukach, czy powinniśmy zakłócać im spokój, który z pewnością znaleźli w Niemczech, wtapiając się w tamtejszą społeczność lokalną, i publicznie przywoływać ich etniczność, do której mogą się nie przyznawać? Z drugiej strony byliśmy ciekawi, jak im się żyje, czy wspominają Kluki i w jakim stopniu uczestniczą w życiu społeczno-towarzyskim w gminach ewangelickich, albo w hamburskim Związku Wypędzonych, liczącym 600 tys. członków. Pojechaliśmy w nieznane.

W kwietniu byłem w Hamburgu, w maju wygłosiłem referat pt. „Losy społeczne i polityczne Słowińców w Klukach w latach 1945-1975. Próba oceny” na konferencji słowińskiej w Łebie, zorganizowanej przez Zarząd Miasta Łeby i tamtejszy Oddział Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, Instytut Słowianoznawstwa Polskiej Akademii Nauk w Warszawie oraz Zakład Języka Polskiego Uniwersytetu Gdańskiego. Po ponad 20 latach zajmowania się sprawą słowińską, te dwa zdarzenia były jakby moim pożegnaniem się ze Słowińcami, chociaż nie wykluczam dalszego zajmowania się nimi w publicystyce. Było to pożegnanie małej, ale zwartej kaszubskiej grupy etnicznej, żyjącej od 1945 roku w Polsce (do tego czasu mieszkali zawsze w Niemczech) i przez Polaków wytopionej.

Głupota, prywatna i nietolerancja wspierana przez władze polityczne i administracyjne pod hasłem jedności narodu doprowadziła do tego, że wręcz cynicznie osłabiono biologicznie społeczeństwo polskie, pozbawiając się całych grup etnicznych, które najpierw jak w podbitym kraju dyskryminowano, a które jeszcze nie tak dawno poniżane były przez Niemców. Smutne losy Mazurów, Opolan i gdańszczan są dobrze znane; ciężko było Kaszubom, ale oni przetrwali oblężoną politykę integracyjną dzięki niesamowitemu uporowi, z jakim trwali broniąc swych sadyb i swojej tożsamości kulturowej. Ich najbardziej na północny zachód wysunięty odłamek, Kaszubi Nadleśbcy, zwani powszechnie Słowińcami, jako dawni obywatele niemieccy i ewangelicy zamieszkujący ziemię otwartą dla szabrowników i zdemoralizowanych „pionierów” z ziem wschodnich, stali na straconych pozycjach. Przed przemocą nie chroniło ich prawo, które na tych ziemiach było martwe, a o mądrą i sprawiedliwą władzę można się było tylko upominać.

W 1945 roku w ówczesnym powiecie słupskim i częściowo łębskim mieszkało jeszcze 2 tys. Słowińców, w takich wioskach jak Kluki, Izbica, Główczyce, Smółdzino, Gardna Wielka i Mała, Wicko, Rowy i Cecenowo. Dzisiaj na tym terenie pozostało nie więcej jak 11 osób żyjących w rozproszeniu, w Gardnie Wielkiej, Główczycach, Łebie i okolicy. Smutne resztki znanych rodzin słowińskich — Judaszków, Bartzów, Wogatzkich, Koetschów i Schimanków.

Przemieszczenia Słowińców do Niemiec są trudne do ustalenia, gdyż bez żadnych niuansów zaliczano ich do Niemców. Można jednak prześledzić je z grubsza na przykładzie Kluk, w których w 1939 roku miesz-

kało 618 Słowińców, w tym 32 rybaków jeziornych i przybrzeżnych morskich oraz 3 Niemców-nauczycieli. Dysponowali oni 250 hektarami ziemi, przeważnie torfiastej, uprawianej w większych gospodarstwach i na poletkach do 4 ha. W 1974 roku było w Klukach 418 Słowińców, przeważnie starszych mężczyzn i samotnych kobiet. Gdy 19 września 1947 roku wysiedlono do Niemiec 184 osoby, pozostało w Klukach 234 Słowińców. Wiosną 1948 roku przeprowadzono w wiosce rehabilitację Słowińców, nadając im obywatelstwo polskie. Brak dostatecznej ilości kwestionariuszy (prawdopodobnie zamierzony) spowodował, że obywatelstwo polskie nadano 137 osobom, a w maju następnego roku jeszcze 7 Słowińcom. W nocy z 17 na 18 września 1948 roku 92 osoby, które obywatelstwa polskiego nie otrzymały, wysiedlono do Niemiec. W Klukach pozostało 142 Słowińców. Ten stan utrzymał się do 1950 roku, w którym było tam również 38 osadników, przeważnie z Wileńszczyzny.

Do 1956 roku wyjechało do Niemiec niewiele osób, po „opłaceniu się” przedstawicielom lokalnych władz, czyli po prostu za łapówkę. W sierpniu 1957 roku udała się do Kluk delegacja Zrzeszenia Kaszubskiego w składzie: Aleksander Arendt — prezes Zrzeszenia Kaszubskiego, Wincenty Karuga — poseł na Sejm ze Śląska, Bernard Kula — członek Okręgowej Rady TRZZ w Gdańsku, Florian Wichłacz — poseł na Sejm z Gdańska, Józef Wolek — przewodniczący Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Gdańsku i niżej podpisany. Stwierdzono wówczas, że nadzieje związane z polskim Październikiem zatrzymały się przed Klukami, w których nadal deptano godność człowieka, okradano i bito Słowińców, odmawiano im



W „Hans der Heimat”. Od lewej: reżyser Marian Kufera, autor artykułu, przewodniczący Krajowego Związku Wypędzonych Niemców i Hamburskiego Związku Pomorzan Dieter Hoth oraz operator Stefan Czyżewski.

wszelkich praw. W krótkim czasie od 1956 roku do sierpnia 1957 roku 7 Słowińców wyjechało do RFN, a 29 do NRD. Pozostali, nie mogąc doczekać się sprawiedliwości, zamierzali również opuścić Polskę. Na miejscu chcieli pozostać tylko Anna, Ruta, Hermann i Wilhelm Koetsch, Klik Albert III, Otto Proy, Otto i August Barnow. Po dwóch tygodniach, pod koniec sierpnia, do Kluk udała się znowu grupa działaczy Zrzeszenia Kaszubskiego (A. Arendt, B. Kula, T. Bolduan) i poseł na Sejm ze Śląska, Józef Śruba. W tym czasie do Niemiec wyjechał Walter Klueck i rodzina Schimanków z Lisiej Góry.

W styczniu 1959 roku w Klukach mieszkało jeszcze 26 rodzin słowińskich, składających się z 93 osób. Pod koniec lutego było 87 osób w 27 rodzinach, ponadto 20 osób tworzyło 4 rodziny mieszane, w których Słowinki były żonami osadników. W 1970 roku było w Klukach 80 Słowińców. Po informacji rządu polskiego ołączeniu rodzin i zawarciu układu z RFN o podstawach normalizacji wzajemnych stosunków w 1970 roku, Słowińcy zaczęli grupami opuszczać wioskę. Największe grupy wyjechały w 1971 i 1972 roku. Tylko w jednym miesiącu 1971 roku do obozu Finkenwerder w Hamburgu przybyło 6 rodzin z Kluk, którym przewodził 74-letni Emil Klueck. Na pytanie jednego z dziennikarzy niemieckich o ich życie w Klukach, Słowińcy w Finkenwerder odpowiedzieli: „O ziemi rodzinnej nie mówi się źle”. W 1974 roku było w Klukach — jak ustaliła Izabella Trojanowska — już tylko 5 Słowińców: Anna Koetsch, matka zmarłej w 1971 roku Ruty i jej dwaj synowie — Hermann i Wilhelm oraz Greta i Charlotte Klueck. Anna Koetsch wkrótce zmarła, a w 1987 roku zmarł śmiercią

samobójczą ostatni Słowińiec w Klukach, Hermann Koetsch. Siostry Klueck wyjechały do Niemiec.

W wielu artykułach publikowanych w prasie od 1950 roku oraz na konferencji słowińskiej w Lebie szczegółowo wymienilem przestępstwa, jakich dopuszczali się na Słowińcach osadnicy.

Wspomnę zatem tylko, że rdzenni mieszkańcy Kluk, bez względu na to, czy posiadali obywatelstwo polskie czy nie, traktowani byli jak przestępcy nazistowcy. Niektórzy osadnicy bili Słowińców — Wilhelmowi Noffke przetrącono kregosłup, gdy stanął w obronie swojego dobytku, okradali ich domy, przywłaszczali sobie plony a nawet całe pola słowińskie, oszukiwali rybaków przy wypłatach, upojeni alkoholem wszczynali we wsi awantury, dokonywali gwałtów na kobietach, pomawiali szczególnie niewygodnych autochtonów o cho-

robę umyslową, składali fałszywe donosy do służby bezpieczeństwa o rzekomym przechowywaniu broni w domach słowińskich... To co działo się zaraz po wojnie, można usprawiedliwić, ale późniejszego łamania prawa historia nigdy nie usprawiedliwi.

Najgorsze jest jednak to, że o barbarzyńskich stosunkach w Klukach wiedziały władze państwowe, od rady gromadzkiej do głowy państwa, i polityczne, od szczebla gminnego do Komitetu Centralnego PZPR. I nic konkretnego nie uczyniły, by te stosunki zmienić.

W 1950 roku z polecenia mojego szefa w „Dzienniku Bałtyckim”, Lecha Bądkowskiego, po raz pierwszy znalazłem się w „kacie słowińskim”. Interweniowałem wtedy w Wojewódzkiej Radzie Narodowej w Koszalinie w sprawie wydania Słowińcom dowodów osobistych. Bez skutku. W 1953 roku wspólnie z red. Zygmuntem Rzeżuchowskim z Ludowej Spółdzielni Wydawniczej i red. Adamem Witoldem Wysockim z „Życia Warszawy” sporządziłem „Notatkę służbową” o bezprawiu w Klukach, którą złożyliśmy w sekretariacie Bolesława Bieruta. Rozmawialiśmy wtedy z Edwardem Ochabem, do którego ułatwił nam dostęp Edmund Jan Osmańczyk. Trzykrotnie rozmawiałem z premierem Józefem Cyrankiewiczem (chciał pomóc, ale nie mógł), prosiłem o pomoc kierownika Zespołu Ekonomicznego Centralnego Komitetu Stronnictwa Demokratycznego, posła na Sejm Stefańskiego. Do ministra bezpieczeństwa publicznego, Stanisława Radkiewicza, nie zostałem dopuszczony, a rozmowy w tym ministerstwie z płk. Dowkanem i ppłk. Świryn zaowocowały jedynie zakazem wydawania mi delegacji służbowych do Kluk. Red. Rzeżuchowski spowodował, że szef wydziału śledczego Komendy Głównej MO pojechał z nami do Kluk i Słupska, gdzie w pełni potwierdził

nasze zarzuty wobec miejscowych władz i niektórych osadników, ale konsekwencji nadzwyczajnych nie było. Moje interwencje we władzach powiatowych w Słupsku i wojewódzkich w Koszalinie oraz w prokuraturze wojewódzkiej nie odniosły żadnego skutku, przynajmniej do roku 1958.

Po powstaniu Zrzeszenia Kaszubskiego kilkanaście razy byłem w Klukach z różnymi delegacjami organizowanymi głównie przez prezesa Aleksandra Arendta. Raporty o sytuacji Słowińców w Klukach, które nieustannie pisałem, a prezes Arendt wykorzystywał gdzie tylko można było, zawierały bardzo ciężkie oskarżenia władz i osadników. Delegacje potwierdzały zarzuty i na tym się kończyło. Niewiele mógł zrobić powołany w październiku 1957 roku z inicjatywy Prezydium Rady Naczelnej Towarzystwa Rozwoju Ziem Zachodnich Społeczny Zespół Opiekuńczy nad Ludnością Słowińską w Powiecie Słupskim, pod przewodnictwem posła Floriana Wichlacha. W 1958 roku na spotkaniu aktywu kaszubskiego z sekretarzem KC PZPR i posłem na Sejm, Zenonem Kliszko, zaatakowałem władze za tolerowanie bezprawia w Klukach. Kliszko, bardzo wówczas zdenerwowany, zaprosił delegację Zrzeszenia i TRZZ do Komitetu Centralnego, gdzie zreferowałem sekretarzowi tzw. sprawę słowińską. Kliszko nie dawał wiary moim słowom, groził nawet obecnym konsekwencjami i to surowymi. Powiedział przy tym, że jeśli prawdą jest to, co usłyszał, wówczas „trzeba nas rozstrzelać”. Po pewnym czasie Zenon Kliszko w towarzystwie wiceministra spraw wewnętrznych, Antoniego Alstera, przyjechał do Gdańska, a stąd dużą grupą pojechaliśmy do Słupska i Kluk. Na miejscu potwierdził wszystkie zarzuty, które mu wcześniej przedstawiliśmy. Rezultaty wizyty, poza zmianami na stanowiskach powiatowych, były żadne. Dlaczego?

W obronę Słowińców przed nieprawościami zaangażowało się wiele osób w Słupsku, m.in. długoletni nauczyciel w Klukach Feliks Rogaczewski, Maria Zaborska, Iwo Malczewski, dr Jan Posmykiewicz, Zygmunt Jazdziejewski, a w Gdańsku — obok już wymienionych — przede wszystkim „pionier walki o Słowińców” Lech Bądkowski, Izabella Trojanowska oraz radca w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych Stefan Różycki. To, że 6 posłów badało sytuację na miejscu w Klukach i niczego nie mogło zmienić — nie dziwi, wszak praktyczne kompetencje posłów na Sejm w tamtych czasach były minimalne. Pozostaje jednak pytanie, na które nie znajduję logicznej odpowiedzi: dlaczego nie było w Polsce silnego człowieka, który w końcu lokalną sprawę Słowińców mógłby załatwić pomyślnie, zwłaszcza że miała ona poważne reperkusje moralne i polityczne, również w Niemczech? Dziennikarze opublikowali w prasie kilkadziesiąt artykułów, w tym większość obrachunkowych — i nie. Dlaczego politycy najwyższego szczebla państwowego i politycznego, którzy zapoznali się ze sprawą słowińską, nie podjęli nawet próby jej rozwiązania?

Po latach pytania te pozostają nadal bez odpowiedzi. Polityka integracyjna, polegająca na pozbyciu się z Polski tych, którzy są zdecydowanie „inni” i nie dadzą się pozyskać dla ideologii marksistowskiej, nawet częściowo nie tłumaczy rządzących Polską. Prywata, demoralizacja kilku osadników w Klukach i urzędników w Słupsku, ich poczucie wyższości i lepszności oraz chęć łatwego życia kosztem Słowińców, też nie dopełnia wystarczająco postawionego pytania, chyba że przyjmiemy fałszywą tezę, iż wszystkie szczeble władzy kompetencyjnej, by rozwiązać sprawę słowińską, były doszczętnie zdegenerowane i zdegenerowane. Oczywiście tak nie było. O złej

woli można mówić tylko w przypadku władz administracyjnych i politycznych od szczebla wojewódzkiego w dół. Ostateczną odpowiedź na nurtujące pytania musimy odłożyć do czasu gruntownego przeanalizowania dostępnych materiałów źródłowych.

Od drugiej połowy 1957 roku ludziom dobrej woli i organizacjom społecznym udało się rozwiązać kilka spraw ważnych dla Słowińców. Ruta Koetsch ukończyła kurs haftu kaszubskiego pod kierownictwem Franciszki Majkowskiej w Wejherowie i nauczyła haftowania wiele kobiet w Klukach. Wskrzyszono w ten sposób tradycję kaszubską i zarazem umożliwiono niezłe zarobki. W Technikum Łączności w Gdańsku, z pomocą prof. dra Andrzeja Bukowskiego, umieszczono Wilhelma Koetscha, Joachima Hanke i Henryka Jasnocha, wyremontowano kilka zagrod i wiejski dom kultury, udzielono Słowińcom doraźnych zapomóg, rybacy wrócili na jezioro, młodzi wyuczyli się różnych zawodów rzemieślniczych. Ale to wszystko było spóźnione i niewystarczające, ponieważ stosunek osadników do Słowińców nie tylko, że nie zmienił się na lepsze, ale nawet pogorszył. Żyli oni ciągle w klimacie stałego zagrożenia. Z listów od krewnych w Niemczech, którzy zachęcali ich do wyjazdu z Polski, dowiadawali się o spokojnym i dostatnim życiu za Łabą.

Na początku lat siedemdziesiątych większość Słowińców z Kluk znalazła się w obozie przejściowym w Finkenwerder w Hamburgu i dlatego zajął się nimi tamtejszy krajowy urząd socjalny. Na ich stanowcze życzenie, że chcą być razem, osiedlono ich w przyległych do siebie dzielnicach: w Billstedt, Billwerder, Bergedorf, Wandsbek i Oejendorf. Nieliczni osiedli pod Hamburgiem — w Grande, Reinbeck i okolicznych miejscowościach. Kilka rodzin z najbliższych wyjazdów zamieszkało w Bremie. Wszystkim powodzi się dobrze, mieszkają w niewielkich kamienicach, bądź w willach — bliźniakach, w pięknym otoczeniu przyrodniczym, posiadają samochody przednich marek. Tylko 3 rodziny odnaleźliśmy w minigaleriowcu (w porównaniu z tymi na Przymorzu w Gdańsku). Świat jest przed nimi otwarty. A jednak są zamknięci w sobie, sąsiedzi prawie nie o nich nie wiedzą, żyją wśród siebie i dla siebie. I bardzo tęsknią za Klukami.

Gdy w Hamburgu, po ustaleniu wielu adresów Słowińców, próbowaliśmy się z nimi skontaktować, nikt nie otworzył mi drzwi. Może zauważyli, ukrytą co prawda, kamerę telewizyjną? Albo zostali telefonicznie powiadomieni o naszej obecności w mieście, gdyż z kilkoma Słowińcami rozmawiałem wcześniej przez telefon. Z hotelu zadzwoniłem do Ottona Pinske. Oznajmił mi, że nie pochodzi z Kluk, ale na pytanie o znaną mi Helgę Pińską odpowiedział, że jest „gdzieś w Nadrenii”. Bardzo sympatycznie przebiegła rozmowa z Brunonem Klueckem. Z rozrzuconiem wspominał on Kluki, które „są tylko jedno na świecie” i chętnie podał numer telefonu swojej siostry Dory (Doroty), żony osiedleńca z Kluk, Ignacego Kopera.

Dora chętnie odpowiadała na pytania o wspólnotę słowińską w Hamburgu, zaznaczając, że co było, to było, trzeba smutną przeszłość oddzielić kreską, nie ma do nikogo żalu. Teraz prowadzi się jej dobrze i to jest najważniejsze. Wszyscy Słowińcy mają pracę lub emeryturę, są zadowoleni i żyją jak normalni ludzie. Przyjaciół mają tylko wśród swoich. Latem wybiera się do Polski, do Krakowa, w którym nigdy nie była, ale najpierw odwiedzi Kluki, chociaż to jest już zupełnie inna wieś. Powiedziała, że wielu dawnych mieszkańców Kluk odwiedza Polskę, a wszyscy rodzinną wioskę.

Gdy do domu wszedł mąż, szybko się pożegnała i odłożyła słuchawkę.

Podobną rozmowę miałem z Edytą, żoną Antoniego Korczyńskiego, która po przebudzeniu się męża — o czym zdążyła mi powiedzieć — przerwała rozmowę z wyraźnym przerażeniem. Korczyński, który jako osadnik w Klukach najbardziej dał się we znaki Słowińcom (obok braci Woronków), z racji małżeństwa ze Słownią był nieusuwalny z wioski, a następnie wyjechał, podobnie jak inni Polacy ożenieni ze Słowniami, do Niemiec i tam otrzymał prawo stałego pobytu. Obecnie on i jego żona są na emeryturze.

* Słowińcy w Hamburgu nie uczestniczą w publicznym życiu towarzyskim i społecznym. Ks. dr Manske, który w Billstedt przez 30 lat był pastorem, nic nie umiał powiedzieć o przesiedleńcach z Kluk. Obecna proboszcz gminy Kreuz-Kirche, pastor Ute Gothmann-Kollath, u której urządziliśmy sobie „kwaterę główną”, też nic nie wie o Słowniach. Nie figurują w kościelnych ewidencjach które w niektórych kościołach wertowaliśmy z pastorami. Nic nie wie o nich proboszcz gminy kościoła Krzysztofa (Christoperus Gemeinde), pastor Lindemann. Związane z gminami ewangelickimi panie Grauel i Gronau zachwycaly się wykonywanymi przez przesiedleńców haftami kaszubskimi, ale okazało się, że wśród ich wykonawczyń nie ma Słowniek. Również wicekonsul polski w Hamburgu, Zbigniew Suszek, nic nie słyszał o przesiedleńcach z Kluk.

Sądziłyśmy, że jakiś ślad znajdziemy w hamburskim Ziomkostwie Pomorzan. Bardzo serdecznie przyjął nas w „Haus der Heimat” przewodniczący Krajowego Związku Wypędzonych Niemców i Hamburgskiego Związku Pomorzan, Dieter Hoth. Wezwał nawet kilku współpracowników, którzy mogliby coś wiedzieć o Słowniach, ale bez rezultatu. W „Haus der Heimat” zauważyliśmy ręcznie wykonane postacie w strojach słowińskich, z napisami: „Lebakaschuben”. To wszystko. Słowińcy — jak powiedział nam Dieter Hoth — nie przychodzą na żadne spotkania, odczyty, wieczorki, nie zgłaszali się nigdy o pomoc finansową czy rzeczową.

Z redaktorami z telewizji próbowaliśmy dobijać się do mieszkań Słownców. Dora Klueck mieszkająca przy Oskar Schlemmer Strasse podniosła słuchawkę domofonu, ale zaraz ją odłożyła. Nikt się nie odezwał w mieszkaniu Margaret Klueck przy tejże ulicy, także w domku Anneliese Klueck przy Kolwitzring... Czy warto było niepokoić ludzi, którzy tak wiele złego przeżyli i wreszcie znaleźli spokojną przystań?

Słowińcy nie chcą się wyróżniać czymkolwiek. Wynika z tego, że świadomie zamierzają żyć w swojej małej wspólnocie, aż w sposób naturalny, w następnych pokoleniach zintegrują się ze społeczeństwem niemieckim. Sprawy narodowe i polityczne są im obojętne, nikt z tych, z którymi rozmawiałem, nie powiedział złego słowa o Polsce, a młode pokolenie rozmawia niekiedy po polsku. Ta grupa etniczna została ostatecznie stracona dla Słowińszczyzny i ściślej — dla Polski. Nasza jest w tym winna.

Kaszubi Nadlebscy przegrali prawie 30 lat życia w Polsce i przegrali je wszyscy, którzy zaangażowali się w ich ratowanie. Smutna jest prawda, że straciliśmy grupę etniczną składającą się z ludzi pracowitych, szlachetnych, dumnych i praworządnych, którą, przy odrobinie dobrej woli, można było uratować w jej siedzibach nad jeziorami Łebsko i Gardna.

Zygmunt Szultka

Nazwa „SŁOWIŃCY” — prawda czy fikcja?

Od razu należy podkreślić, że chodzi o pojęcie „Słowińcy”, jakie podał A. Hilferding w „Resztkach Słowian na południowym wybrzeżu Morza Bałtyckiego”. Dzięki tej pracy zostało ono wprowadzone do obiegu naukowego i funkcjonuje — w moim głębokim przekonaniu — zupełnie bezzasadnie do dziś. W świetle wywodów rosyjskiego językoznawcy Słowianie mieszkający na zachód od strumienia Pustynka „nazywali siebie Słowniami” i dzielili się jakoby na trzy podgrupy. Jedną stanowić mieli mieszkańcy 9 małych osad rybackich i leśnych nadmorskiej mierzei oraz pasa lądowego między jeziorami Gardno i Łebsko, drugą — 5 wsi między Pustynką i rzeką Łupawą, trzecią — mieszkańcy 8 osad po zachodnim brzegu Łupawy. A. Hilferding uważał, iż przed wiekami wszyscy Słowianie zamieszkujący na zachód od Pustynki „nosili nazwę Słowian lub Słownców”, obecnie zaś, tj. w połowie XIX stulecia, „zachowała się ona jedynie na zachodnich obrzeżach obszaru zamieszkałego przez pomerańskich Słowian”, ponieważ rzekomych Słownców oddzielały od Kaszubów głębokie bagna i błota. Badacz ten dwukrotnie podkreślił, że w Gardnie Wielkiej, Klukach, Wysokiej, Czystej i innych miejscowościach na zachód od tego strumienia „lud nazywa siebie (...) nazwą Słownców; w Gardnie słyszałem nawet od rybaków, że nazywają siebie Słowenci”. Nazwa „Słowińcy” oznaczała więc najdalej na zachód zamieszkanych zachodniopomorskich Słowian, od wschodu graniczących z rzekomymi Kabatkami, za którymi — w kierunku wschodnim, zamieszkiwali „Kaszubi Pomeranii”. W świetle wywodów A. Hilferdinga nie jest jasne, czy owi „Kabatkowie” to też Kaszubi. Utrzymywał bowiem, że wprowadzony przez niego podział Słowian zachodniopomorskich na „Słownców”, „Kabatków” i „Kaszubów Pomeranii” miał być jakoby reliktem „starodawnego podziału ludów słowińskich na mniejsze plemiona”. „Słowińcy”, to więc resztki jakiegoś starosłowińskiego plemienia pomorskiego, innego niż kaszubskie, chociaż w czasach Hilferdinga dawne różnice plemienne w zakresie języka, zwyczajów i obyczajów, stroju itd. uległy prawie całkowitemu zatarciu. W każdym razie były minimalne.

W przeprowadzonej krytyce podstawy źródłowej pracy A. Hilferdinga (druk w: „Studia z Filozofii Polskiej i Słowińskiej” oraz w materiałach z sesji w Łebie z maja br.) starałem się wykazać, iż jego „słowińska” teoria jest mylna, że jest rozwinięciem

przekazu gardneńskiego pastora A.T. Kummera z 1835 roku oraz próbą dostosowania wcześniejszych podziałów Kaszubów zachodniopomorskich Ch.W. Hakena i Ch.F. Wutstracka do sytuacji z połowy XIX wieku. Źródła archeologiczne i pisane dowodzą, że rzekomi Słowiańcy, zamieszkujący parafie gardneńską i smołdzińską, to tacy sami Kaszubi, wywodzący się z tego samego pnia plemiennego, co ich bracia na wschód od strumienia Pustynki. Udało mi się dotrzeć do materiałów wykazujących ponad wszelką wątpliwość, że A. Hilferding rzetelnym badaczem nie był, iż część tekstów źródłowych zawartych w jego pracy została spisana nie przez niego a przez F. Ceynowę. Wykazałem, iż doktor z Bukowca prowadził na Pomorzu Zachodnim samodzielne badania terenowe, chociaż nie udało mi się dokładnie ustalić kiedy, w każdym razie przed drukiem pracy A. Hilferdinga. Być może dlatego ukazała się ona aż 6 lat po jego badaniach. Udział F. Ceynowy w powstaniu i kształcie książki Hilferdinga wymaga pogłębionych badań źródłowych. Uważam też za bardzo wątpliwe — wbrew temu co pisał A. Hilferding — by słowiańscy mieszkańcy parafii gardneńskiej i smołdzińskiej nazywali siebie „Słowińcami”, zaś parafii cecenowskiej i główczyckiej — „Kabatkami”. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że jedni i drudzy oraz ich bracia znad rzeki Łeby, Piaśnicy i Wierzycy mienili się Kaszubami, a ich językiem macierzystym był kaszubski. Źródła wykazują bowiem, że Hilferdingowa „słowińska” teoria oraz sama nazwa „Słowiańcy” są tworem sztucznym, sprzecznym z minioną i przez niego spisywaną, ale nie do końca zgłębianą, rzeczywistością.

Na poparcie tej tezy przytaczam wypowiedzi mieszkańców parafii gardneńskiej i smołdzińskiej, mówiących po niemiecku i po słowiańsku, oraz osób spoza tego obszaru, ale dobrze ten teren i jego mieszkańców znających. Na szczególną uwagę zasługują tu źródła świadczące o tym, jak siebie samych nazywali tutejsi Słowianie oraz miejscowi pastory. Ramy objętościowe artykułu powodują, iż ograniczę się do wymienienia niektórych tylko dokumentów z końca XVIII i pierwszej połowy XIX wieku, a więc z okresu poprzedzającego badana A. Hilferdinga. Od razu pragnę podkreślić, że nie dotarłem do ani jednego źródła, powstałego przed 1856 rokiem na tym terenie, świadczącego, aby Słowianie na zachód od Pustynki mienili się lub byli przez kogoś innego nazywani „Słowińcami”. Istnieją natomiast dziesiątki dowodów temu przeczących.

Gdy chodzi o parafię gardneńską to chronologicznie wspomnieć należy, iż słupski landrat i prepozyt określili jej mieszkańców w roku 1751 „gminą niemiecką i polską”, ponieważ językiem kościelnym w miejscowym zborze był język niemiecki i polski. Ale pięć lat później tenże prepozyt (J.J. Specht) pisał, iż parafia ta „składa się z Niemców i Kaszubów”. Fakt ten potwierdził on w 1766 roku stwierdzając, że „Kaszubi stanowią dużą część [tej] parafii”. W trwającym wówczas sporze o obsadę parafii wypowiedzieli się również wójt Gardnej Wielkiej oraz sołtysi parafii stwierdzając, że „oni są Kaszubami”. Mamy więc tu jednoznaczne określenie się samych Słowian gardneńskich.

W 1835 roku pastor gardneński A.T. Kummer pisał: „Kaszubi w parafiach Gardna Wielka i Smołdzino (...) nie chcą nazywać się Kaszubami, a mienią się słowiański lud, to znaczy słowiański lud (slavisches Volk) (...).

Zupełnie inną grupę plemienną stanowią Kaszubi w parafiach Głównicy i Cecenowo, którzy rzeczywiście nazywają się Kaszubami”. Uważam, że cytowany fragment był jednym z kamieni węgielnych Hilferdingowej teorii słowińskiej.

Interesujące będzie przedstawienie innych wypowiedzi pastora A.T. Kummera na temat gardneńskich Słowian. W sprawozdaniu z egzaminu konfirmacyjnego dzieci z dnia 9 kwietnia 1822 roku pisał, iż zaangażowanie miejscowego nauczyciela E.L. Kroppa w sprawie nauczania dzieci języka niemieckiego zasługuje na tym większe uznanie, gdyż te „w obejściu domowym z rodzicami posługują się jeszcze językiem kaszubskim, przez co naukę [języka niemieckiego] utrudniają”. W analogicznym sprawozdaniu za następny rok odnośnie szkoły w Stojcinie napisał: „Ten kaszubski język wydaje się być przeszkodą nie do pokonania w przyswajaniu sobie przez dzieci wszelkich wyobrażeń, których dzieci uczą się w trakcie pisanie i rachowania”.

W lipcu 1828 roku zmarł wspomniany wyżej nauczyciel. Jego następcą został Noack, rodem z Polanowa, który nie znał języka polskiego i kaszubskiego. W sprawozdaniu z odbytych lekcji próbnych pastor A.T. Kummer napisał: „Polecano mu również czytanie polskiego kazania, które z powodu doprawdy licznych obowiązków pastora, ze względu na małą polską gminę, często ma miejsce; ponieważ jednak on nie zna tego języka, to nie mógł tego wykonać”.

Pastor A.T. Kummer w wyżej wymienionych sprawozdaniach, adresowanych do swoich przełożonych, pisał zgodnie z prawdą, że miejscowi słowiańscy parafianie — dorośli i dzieci — mówią po kaszubsku. Zaś nauka w szkołach i ceremonie kościelne w zborze odbywały się również po polsku. Dlatego nauczyciel miał czytać „polskie kazanie” dla „polskiej gminy”, czyli mówiących po kaszubsku Słowian zebranych na nabożeństwie odbywającym się w języku polskim.

Tę obiektywną prawdę potwierdzili w układzie dziedzicznym z 1818 roku hrabia F.W. Bandemer i G.C.D. v. Bandemer z Żelaza stwierdzając, że nowy właściciel wsi, hr. F.W. v. Bandemer będzie wspierał rocznie miejscową szkołę kwotą 12 talarów, która w jego „kaszubskich dobrach z łaski Bożej jest ufundowana i założona”. Posiadłości Bandemerów, położone w parafii gardneńskiej i główczyckiej, zostały nazwane „kaszubskimi”, gdyż zamieszkiwali je w przewadze Kaszubi mówiący po kaszubsku.

W rok po obecności A. Hilferdinga w Gardnie Wielkiej wyłonił się problem mieszkania dla nauczycieli. Wynikł on stąd, że mieszkańcy Gardny Małej domagali się własnej szkoły i nie chcieli dalej posyłać swych dzieci do szkoły w sąsiedniej wsi. Władze oświatowe, pastor i zarządca folwarku chcieli utrzymać dotychczasowy stan. W sporze tym zarządca folwarku stwierdził, że „nie leży w charakterze Kaszubów ponoszenie ofiar na pożyteczne cele”. Również w tym dokumencie słowiańscy mieszkańcy dwóch wsi nazwani zostali „Kaszubami”, chociaż A. Hilferding zapewnia, że zwali się „Słowińcami”.

Do tak zwanego słowińskiego obszaru językowego lingwiści zaliczają również parafię smołdzińską, gdyż jej słowiańscy mieszkańcy mieli nazywać się rzekomo „Słowińcami”. Przebadane materiały źródłowe tego nie potwierdzają.

W 1780 roku w Smołdzinie zrodził się ostry i długotrwały spór na tle następcy starego i schorowanego pastora Ulyka Engellandta, który uważał, iż nowy duszpasterz koniecznie musi znać język polski lub kaszubski, ponieważ w zborze „największą część słuchaczy stanowią Kaszubi”. Faktu tego nie kwestionowali przeciwnicy proponowanego przez U. Engellandta kandydata na nowego pastora — generalny dzierżawca domeny smołdzińskiej mieszkający w tej wsi od dziesiątków lat, oraz najbardziej nieprzejednany wróg Słowian w synodzie słupskim, jego prepozyt Ch.W. Haken, którzy wielokrotnie smołdzińskich Słowian nazywali „Kaszubami”, a ich język „kaszubskim”; nigdy zaś „Słowińcami” i odpowiednio — „słowińskim”.

W latach 1810-1815/16 adiunktem smołdzińskiego pastora był Samuel Tomaszczyk (Thomasius), Mazur z pochodzenia, wielki miłośnik języka polskiego i obrońca Kaszubów. Gromadził on zabytki piśmiennictwa słowiańskiego na Pomorzu Zachodnim, które spłonęły w czasie pożaru plebanii. Pastor Tomaszczyk opisał tragedię kaszubskiej rodziny Pintzki z Witkowa. Matka, niesłusznie podejrzewając męża o zdradę małżeńską, utopiwszy dwóch małoletnich synów, sama targnęła się na życie. W ocenie pastora, którego z większą dozą prawdziwości uważać można za Polaka niż Niemca, fakt ten był wynikiem „surowego i złego charakteru tutejszych Kaszubów” oraz niskiego poziomu oświaty. Dodać należy, że pastor Tomaszczyk przed przybyciem do Smołdzina był najpierw nauczycielem, a następnie duszpasterzem w Tuchomiu. Znał doskonale język polski i kaszubski oraz różnicowanie dialektyczne kaszubszczyzny, a mimo tego Słowian smołdzińskiej parafii nie nazwał „Słowińcami” a, zgodnie ze stanem faktycznym, „Kaszubami”.

W maju 1839 roku zniesiono w Wierzchucinie, liczącym 31 budynków wspólnoty wiejskie, 2 sierpnia 1841 roku budnicy wnieśli przeciwko temu protest, stwierdzając m.in.: „Powtarzamy nasz wcześniejszy sąd, że nie rozumiemy języka niemieckiego w takim stopniu, abyśmy wystarczająco zrozumieli protokół przejęty przez asesora Henniga. My podnosimy i to, że w naszych rozmowach w Sądzie Ziemskim i Grodzkim nie był obecny kaszubski albo polski tłumacz (...), który przetłumaczył nam niemiecki tekst na któryś w tych językach”. Po kaszubsku dlatego, iż język kaszubski był ich językiem macierzystym, który zwali właśnie „kaszubskim”. Gdyby mienili go „słowińskim”, to najpewniej domagaliby się tłumacza języka „słowińskiego”.

Wiosną 1849 roku wizytację szkoły w Klukach przeprowadził superintendent staromiejskiego synodu słupskiego, dr J. Starcke. W protokół wizytacji napisał, że większość dzieci miejscowych „kaszubskich rybaków” w domu „mówi tylko po kaszubsku”. Więc mieszkańcy Kluk to Kaszubi, mówiący po kaszubsku, a nie jacyś „Słowińcy”, mieniący swój język „słowińskim”.

Czy w świetle przytoczonych dokumentów, które można by mnożyć, prawdziwe jest stwierdzenie A. Hilferdinga, że słowiańscy mieszkańcy parafii gardneńskiej i smołdzińskiej mienili się „Słowińcami”. Osąd pozostawiam Czytelnikom. ■

Edward Breza

KONFERENCJA SŁOWIŃSKA

W dniach 11 — 13 maja odbyła się w Łebie II Konferencja Słowińska. Organizatorami konferencji byli: burmistrz Łeby (Kazimierz Kleina), tamtejszy Oddział Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, Instytut Sławistyki PAN w Warszawie i Zakład Historii Języka Polskiego, Dialektologii i Onomastyki Uniwersytetu Gdańskiego. Burmistrz miasta z wójtami sąsiednich gmin wzięli na siebie koszty utrzymania referentów i uczestników konferencji. Oddział Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego czynności organizacyjne, z Instytutu Sławistyki pochodziła większość referentów, a prof. J. Treder z Uniwersytetu Gdańskiego odpowiedzialny był za program naukowy imprezy.

Przypomnieć warto, że I Konferencja Słowińska odbyła się 14 I 1960 roku w Instytucie Sławoznawstwa PAN w Warszawie po zebraniu przez pracowników tego instytutu (w czerwcu 1959 r.) materiałów etnograficznych (podania, legendy itp.) i językowych (mowa, nazwiska zebrane z cmentarza, nazwa wsi i zagród) w Klukach Smołdzińskich. Wygłoszone wówczas referaty zamieszczone zostały w zbiorze „Słowińcy, ich język i folklor”, wydanym przez Ossolineum w roku 1961 w serii Zeszyty Problemowe Nauki Polskiej t. XXII.

Tym razem referenci wywodzili się ze wspomnianego Instytutu Sławoznawstwa (obecnie Sławistyki) PAN w Warszawie, Uniwersytetu Gdańskiego, Uniwersytetu A. Mickiewicza w Poznaniu, Instytutu Historii PAN w Poznaniu i ze Słowińskiego Parku Narodowego. Sesja miała więc charakter nie tylko humanistyczny, historyczny i językoznawczy, ale także charakter przyrodniczy. Gospodarzom zależy na tym, żeby na przyszłość organizować w Łebie sesje co dwa lata i właśnie takie — o charakterze uniwersalnym. Grono słuchaczy było liczne. Obok pracowników naukowych ze wspomnianych placówek byli też przedstawiciele miejscowej inteligencji: Łeby, Smołdzina, Kluk oraz dziennikarze lokalnych gazet i prasy centralnej.

Prof. Józef Borzyszkowski mówił o „Kaszubsko-słowińskiej kulturze w świadomości i w życiu codziennym współczesnych mieszkańców Pomorza”. Dr hab. Zygmunt Szultka przedstawił genezę i funkcję nazwy Słowińcy. Kabatkowie i Istkowie w świetle pracy A. Hilferdinga „Resztki Słowian na południowym brzegu Morza Bałtyckiego” i nowych materiałów rękopiśmiennych wydobytych z Biblioteki Uniwersytetu w Gryfii (Greifswald) oraz Archiwum Państwowego w Szczecinie. Tezy referatu Z. Szultki spotkały się z dość krytyczną oceną językoznawców. Referent postulował m.in. zarzucenie nazwy Słowińcy. Tadeusz Bolduan przedstawił w sposób barwny, wierny i wzruszający historię powojennych starań Lecha Bądkowskiego i własnych o uratowanie Słowiń-

ców. Zainteresowaniem cieszył się też referat dra K. Rabskiego o wartościach przyrodniczych i bogactwie ekosystemów Słowińskiego Parku Narodowego. Ożywiona była dyskusja wokół spraw podnoszonych w referatach, jak i interesujących mieszkańców Łeby i okolicy, np. pochodzenie nazwy rzeki i miasta Łeby.

Dzień drugi przyniósł już referaty ściśle językoznawcze. Prof. E. Breza scharakteryzował zjawiska językowe, ujawnione w Słowniczku niemiecko-kaszubsko-polskim, ułożonym przez pastora G. Lorka z Cecenowa w roku 1835 i przesłanym radcy regencyjnemu i szkolnemu Ulrichowi w Koszalinie. Słowniczek zawiera ponad 100 słów kaszubskich. Odnalazł go w zbiorach Biblioteki Uniwersytetu w Gryfii doc. Z. Szultka i publikuje go w Roczniku Gdańskim (t. 52, 1992, z. 2). Nie znany dotąd „Słowniczek gwary słowińskiej” J. Łęgowskiego omówiła prof. H. Popowska-Taborska. Prof. J. Treder zanalizował szeroko materiały słowińskie w słownikach S. Ramuła. Prof. K. Handke omówiła wartość użytkową Słownika słowińskiego (Slovinsches Wörterbuch) F. Lorentza, wydanego w dwóch tomach w Petersburgu w latach 1908 — 1912. Prof. Z. Sobierajski przedstawił założenia redakcyjne przygotowywanego nowego Słownika gwarowego Słowińców nadbałtyckich. Słownik taki z szeregiem gronem współpracowników opracowuje na podstawie Słownika słowińskiego Lorentza, Materiałów M. Rudnickiego, powojennych zapisów własnych i L. Mozyńskiego. Największą przeszkodą w wykonaniu tego zamierzenia jest brak pieniędzy.

Prof. W. Boryś z Krakowa omówił najstarszą słowiańską leksykę słowińską na tle innych języków słowiańskich. Prof. J. Zieniukowa przedstawiła ciekawy system liczebnikowy u Słowińców, w którym eksponowane zostały wyrazy sztyga '20 sztuk' z pierwotnego znaczenia 'kopa zboża' i kopa '60 sztuk' z pierwotnego znaczenia 'sterta zboża lub siana'. Dlatego u Słowińców 20 to jedna sztyga, 30 — pół kopy, 40 — dwie sztygi, 50 — dwie i pół sztygi, 60 — kopa, 70 — trzy i pół sztygi, 80 — cztery sztygi, 90 — cztery i pół sztygi. Prof. E. Rzetelska-Feleszko i doc. J. Duma omówili słowińskie nazwy miejscowości. Autorzy znani są z opracowania najstarszych słowiańskich nazw miejscowych Pomorza Środkowego (Słupsko-Koszalińskiego) i Zachodniego (Szczecińskiego). Wreszcie mgr M. Cybulski zajął się analizą językową nazwisk mieszkańców Łeby z zachowanego „Spisu alfabetycznego właścicieli niemieckich” z roku 1948.

Konferencji towarzyszyła okolicznościowa wystawa o Słowińcach, przygotowana w miejscowej szkole podstawowej przez Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie. Po wystawie oprowadził uczestników konferencji i uczniów starszych klas E. Kamiński. Osobne spotkanie z tymi uczniami na temat Słowińców miał prof. E. Breza.

W trzecim dniu konferencji była wycieczka do Kluk Smółdzińskich, zwiedzanie chat słowińskich, cmentarza i okolicy. Osobnym akcentem było zwiedzanie wydm lebskich. Poczęstunek bigosem i kielbaskami w Klukach dopełniał atrakcji turystycznych. Na pochwałę zasługuje organizacja konferencji, gościnna troska gospodarzy o swoich gości.

Pokłosie konferencji zapowiada się bogato. Referaty przygotowuje redakcyjnie prof. J. Treder, a wydać zamierza burmistrz Łeby. Postanowiono uruchomić serię wydawniczą pt. Monumenta Cassubiana, gdzie zamierza się drukować źródła kaszuboznawcze, np. zbiory leksykalne.

przescyganie CZASU

Cziejô sôdóm do pisaniô, móm nad sobą ne znóné ukôzci: Trud, Niewôrto i jesz pôrê jinszêch. Rozmiszlóm o „Pomeranii”, chtêrnô trôfiô w nieznóné ręce i tak rzôdko pod ne upraglê ustrzechê, bo je takô ambitnô. I tak przôdê miôl jem w mësłach ukôzkę cenzora, czê redaktora Wojka, tak terô móm Strach. Bo skuńczył sê czas partizantczy, czas mówieniô przez kwiat, subtelnyma przëgôdkama. Kuńczy sê robota dlô taczich grëzëpiórków, jak jô. Skuńczyło sê odgriwaniê rolê wêkrêkolê, robôka toczącego w masywnym (jak sê wêdôwało) srąbie socjalistycznego państwa. Ni ma taczich potrzebê i ju, w tim wieku, sê człowiekowi tak baro nie chce. Ko normalny człowiek, co może so tej sej pozwolêc na rzniêcê głupka, zacinô statecznic, cziej przemijô nienormalny klimat w kraju. Sztudencê do uczbê, gburzê do widłów, wêkrêkolowie do ... ? Może do kabaretu, wëszczerzac sê z drobnêch lëdzczich słabosczy? Do cze sê nadôwô człowiek, co sztêk zêcêgo stracył na przekësnym podsmiëwaniem sê i w nym apartnym peerelowsczim swiece czuł sê jak Karus w mętny wodze? Nipocô Solidarnosc spuscëła wiekshi dzël błotka, terô ostało zêcê w zasmiardlim mule abo jakôs cêdównô przemiana wedle nierealnêch prôw reinkarnacëji. Dlô mie to je prostê, bo jô jem wiêdno żil w pôrê postacëjach narôz. Równak je wiedzec, że je wiele lëdzy utalentowónêch — artistów, politików — zaskorëpiałêch w swoji przedpotopowi szaturze. Np. taczich Andrzej Gwiazda nie rozmiëje nowëgo czasu. Zôs jinszi, opak: nabrelê wiatru w żôgle i rëszył z dëchë czasu, ale, jak no czësto biwô, përzne pobłãdzëlê. Nen wiat, kręcëszk, gnaje jich za omanama codniowêch wëdarzeniów. Jesz jinszi delê sê wcygnac w obarchniali tuñc sławê i bagactwa, a tracą dësze. Nie je to nick nowëgo pod słuñcë. Wiôldzi swiat — wiôldziê pokusê. Jô móm swojê listê popularnêch artistów, slëgów Szatana. Ale nie jidze wiêdno o to, że chtos gorszi nen cemny lud. Szkoda mie je artistów, co sami siebie niszcza. Móm czëtóné wëznania pôrê spomidzê mojęch bogów muzyczy i widzë, jak oni tracëlê swoje talentë, jak niszczyłê swoje zdrowiê w narkotycznym dëmie. C. Parker, J. Hendrix i jesz pôrêdzesat jinszêch są przëkladama na to, do cze człowiek może duñc, zëlê wëkorzystô choc le dzël swojêch darów bożëch. A jak dalek oni bë zaszlê, cziejbê zëlê bëlno! Bo są tész przëkladê do cze człowiek z pomocą Boga

NA ROZDROGACH

może duńc. J.S. Bach, B. Pascal, A. Dürer i jesz pórëdzesat jinszëch fenomenów wszechczasów.

Tero, żebë zeńc z tëch wiżawów na ziemię, wëpòdò sę spëtac, w jaczim mòlu më, Kaszëbi jesmë? Czim możemë sę pochwalëc przed jinszim nòrodama? Przënlëgò sę tu, to je jasné, przëlòżëc pasowną miarę i wògę. Ko z Francëją czë Miemcama moglabë sę próbować równac Polskò, a Kaszëbi mogą wierë sę przërównywac z, wezmë, Korsykanama (niejeden prëschi generał i jëden polschi admirał wëszedł z Kaszëbów, choc, pròwdac, tak wësok jak Napoleón B. niżòden nie wëszosowòł). Chcałobë sę człowiekowi, żebë tész Kaszëbi moglë wëstawić na nym jòrmarku pròznoscë jaczis towòr, o jacji bë sę wszëtëc bilë. Po pròwdze nama bë sę przëdòł jacji szlager lëteracczi òrtu „Don Kichota” czë autòr genialny jak J. Conrad. Tu kòżdi wié, to sę rozmiëje, że jidzë nóm o towòr swój, osoblëwi, a nié o plagiat czë podròbkę. Czë më cos taczëgo mómë, abo możemë miec? Gwësno ju cos mómë („Rémus” A. Majkowscziëgo czë dokazënczi J. Drzëżdżona), ale... O co mie jidzë? O to, żebë zadzëwowac swiat, Europë? Jò móm namklë na Europë. Mie jidzë o Kaszëbów, o obstojenié kaszëbiznë i o ji zbël-nienié. Më mómë sztof, tworzëwo na cëkawą lëteraturę — swoje tragicznë doswiòdczenié historicznë i wiédzà o žëcym tak samo bogatą, jak mò wiele jinszëch lëdów. Le trzeba no bogactwo przëtworzëc, przekuc no sërówé złoto w dokazënczi sklëniące czëstim artizmë. Le chto wié, czë më zdążimë? Ko timczasë naszi Kaszëbi wëzbijają sę swojiznë, ukrywają domòcë skarbë przed dzëcamà i gapowato podzywiają cëzë sklëdla.

A terò z rzeczi czësto uzemnëch.

Wejrowo, Kartuzë i kocëwsczië Dërszewo są miastama, w jaczich rozkwitło bezrobocé. Wezmë, w Kartuzach pod kuńc czerwińca 92 roku bëło pięc tësacy lëdzy bez zatrudnieniò.

Pòrë dni po II Kongresu Kaszëbsczim jò rozmòwiòł z prof. Abdonë Strëszòkë, chtëren postawił zapytanié, përnë retoricznë, bo jò jem nie wiëdzòł za baro jak na nie odpowiedzëc: czim je najë Zrzeszenié? Bodòj, wedle niejëdnëch lëdzy, ZK-P je czims na òrt kółka lubiënców kaszëbiznë, ale nie ma w nim programu gospodarczëgo (polityczny je: regionalizacëjò). Pón Profesór jesz pamiëtò czas, cziej Zrzeszenié, tej: Kaszëbsczë, próbowało cos robic dlò gburów czë rëbòków. Ko

naszi lëdze — gòdòł Profesór — są, wikszi dzële, konkretny, trzimają są zemi. Jo, Kaszëbi są realistama i „matematikama” (romantikama tész). Jò jem próbówòł sę z Profesore kask spierac, ale w kuńcu jesma sę wierë dogòda, że z gospodarczima programama je dzysò trudnò sprawa, bo dzys dnia program ja aktualny tak dlugo, jak dlugo rządzy partiò, co go wëmësła. Co jinëgo bëło za czasów komunë. Tedë, żelë rządząco sztërdzescë lat partiò przëjëlà program (chocbë nawetka lëchi), tej go próbowa zjiscëc, równo jaczim kosztë (udało sę odbudowac wnczas Warszawë i Gduńsk, ale udało sę tész zniszczëc gospodarkë w całoscë). Cziejbë wnenczas, za Gomulczy państwo chcało sę czierowac za doradama Zrzeszeniëgo... Państwo bëło nòmądrzészë. A Zrzeszenié mia bëc pasë transmisyjnym dlò mądrowinów sëlònëch z Warszawë. Taczëgo ZK-P Kaszëbi nie chcelë miec, tej ono pomalë wiëdło. Zòs po gierkowsczi „odnowie” ZK-P wëstrzëgało sę politikowaniò. Jak zòzdrozny bëłë rządowie PRL o monopol na programë gospodarczë czë choc le na próbowanié zarobieniò pòrë dëtków, swiòdczi pogorcha z plakatë Boney M. i z przëdażą wërobów lëdowëgo rzemiesla.

Ale to je ju przëszlota. A co je dzys z tima bezrobotnyma Kaszëbama i Kocëwiòkama? Hełë, cziejbë terò ZK-P po pròwdze tak miało nen gospodarczi program i wëmësłëło zajëcë dlò tëch tësacy lëdzy, tej ho, ho! ZK-P bë sę stało nòpiërszą partią na Pomorzi i nicht bë nie brëkowòł szëkac łasczi we Warszawie. I tej wa bë widza kuli Kaszëbów je na Kaszëbach... Ale tak dobrze ni ma. Taczë sprawë zanòlëżà od Warszawë, od reformów ustrojowëch w całi Polsce, w sejmie i rządze. Dlòte, jak powiòdò D. Tusk, musimë sę starac zreformowac centrum. Tzn. przez Warszawë jidzë droga do regionalizacëji. Tam, w sejmie i rządze musimë miec swojëch lëdzy, przëkonònëch do ti udbë.

Szkoda, że w naszym ZK-P w przëszlëch latach nie zagniozdowalë elementë kapitalistycznë, tj. szpecjalisce od kapitalistyczny gospodarczi (mómë le „poetów”). Ko cziejbë më mielë program i lëdzy tam, u górë, tej możlëwë, że zamiast bëc podpowiòdajkë na państwowi zdradni, më bë dzysò tam mielë swojëch aktorów, chtërny bë pamiëtëlë o bezrobocym w Kartuzach. ■

Co dzieje się w szkole

— Od dłuższego czasu problemy szkolnictwa bulwersują opinię publiczną. W społecznym odbiorze funkcjonuje wizerunek szkoły borykającej się z poważnymi trudnościami natury materialnej, niedoinwestowanej, nawet zagrożonej w swej egzystencji. Jak na tle sytuacji ogólnokrajowej wygląda gdańska oświata?

— Problemy finansowe oświaty zawsze istniały. Dziś sytuacja jest bardziej skomplikowana. Trudności budżetowe rzeczywiście się pogłębiły. Niemniej w oświacie dzieje się wiele rzeczy dobrych. Nowa ustawa oświatowa daje szkole bardzo wiele możliwości. Największą szansę upatrywałabym w decentralizacji zarządzania oświatą, pełnej autonomii szkoły i działaniu na rzecz przystosowania oświaty dla potrzeb przyszłości. Trudności, z jakimi obecnie się mierzymy, nie decydują w ostatecznym rozrachunku o reformie, która dokonuje się w oświacie. Szkoła dzisiejsza musi być szkołą tworzoną przez całą szkolną społeczność — przez nauczycieli, organizatorów procesu dydaktyczno-wychowawczego, rodziców oraz uczniów. Mamy sporo przykładów zgodnej współpracy tych trzech układów partnerskich. Dzięki prawu, które określa formy współpracy.

Mamy takie same problemy finansowe jak inne województwa. Gdańskie wyróżnia się swoistym zaangażowaniem gmin w sprawy oświaty. Dysponują one pewnymi środkami pozabudżetowymi, które przeznaczają na oświatę. Połowa szkół podstawowych w zasadzie jest już w rękach gmin, ale również państwo dofinansowuje te szkoły, przekazuje środki na ręce kuratora, albo na konto wójta, burmistrza, decydenta danej gminy. Są też takie gminy, które szkół nie prowadzą, ale pomagają swoim sąsiadom. Kupują opał, pomoce czy wspierają jakąś działalność wychowawczą. Takich przypadków mamy bardzo wiele, co wcale nie znaczy, że wszystko jest w porządku. Generalnie za mało jest pieniędzy na oświatę. Nie chciałabym jednak, by stwarzano taki obraz, że ta oświata już się pograża, że właściwie jej nie ma. Ona jest, żadnej szkoły nie zamknęliśmy. Wręcz odwrotnie, utworzyliśmy wiele nowych szkół, stopniowo zmienia się struktura szkolnictwa i programu nauczania. Należy na te zmiany patrzeć jako na proces wymagający dłuższego czasu. Poza tym szkoły prowadzą także działalność gospodarczą, zarabiają na różnych działaniach i odkładają zgromadzone fundusze na konto swoich środków specjalnych. Wiadomo, iż szkoła powinna być zwolniona od konieczności dorabiania, ale czas jest tak trudny, że trzeba coś robić, by zapewnić sobie pełną możliwość normalnego funkcjonowania.

— Które z naszych gmin przejawiają największą aktywność jeżeli idzie o opiekę na szkołami?

— Nie chciałabym tutaj stawiać cenzurek. Mogę tylko powiedzieć, że od dwóch lat prowadzi szkoły jedenaście

gmin w gdańskim województwie. Od roku — kolejnych dwanaście. Wszystkie gminy starają się sprostać zadaniom, jakie stawia edukacja. Zatem trudno mi tutaj kogokolwiek wyróżniać. Warto podkreślić, że te gminy, które dokonały przejścia szkół na samym początku, czyli po utworzeniu samorządów lokalnych, dziś mają mniejsze problemy. Do takich gmin należą Gdynia, Steżycza, Somonino.

— Słowem, daleko jeszcze do jakiejś idylli, przeto i lista problemów, skarg, monitów, petycji kierowanych do kuratorium jest chyba długa...

— Jeśli pojawiają się problemy, niekoniecznie należy widzieć w tym coś złego. Nawet jakieś konflikty nie muszą być destrukcyjne. Bywa, że z konfliktów rodzi się nowa jakość. Do najtrudniejszych należą problemy finansowe. Chodzi o środki na tzw. rzeczówkę, czyli na codzienne funkcjonowanie szkoły. Jeżeli ponad 80 procent całego funduszu oświaty stanowią place, to proszę sobie teraz wyobrazić jak niewielka jest pula pieniędzy na inne wydatki, a więc na wspomnianą rzeczówkę. W tym opał, bieżące remonty. Wiele szkół ma dług, rosną odsetki. Sedno sprawy polega na tym, by nie tylko utrzymać bazę pozostającą w naszej dyspozycji, ale także ją pomnażać. Nie wolno dopuścić do dekapitalizacji bazy. Tym bardziej, że nasze województwo należy do bardzo zasobnych w młodzież. Toteż potrzeby edukacyjne nie maleją lecz przeciwnie — sukcesywnie się zwiększają. Potrzeba więcej szkół. Jest to dzisiaj niełatwe zadanie. Wierzę jednak, że z czasem uporamy się z tą bolączką okresu przejściowego. Wiele konfliktów i sporów wywołała w ubiegłym roku waloryzacja płac nauczycieli, o którą bardzo energicznie zabiegały związki zawodowe. Był to problem ogólnopolski. Ja też uważam, że racja była po ich stronie, gdyż place nauczycielki były i nadal są niskie. Gdyby tu posłużyć się niezbyt pięknie brzmiącym terminem „selekcja do zawodu nauczycielskiego”, to rozumiałabym ją w kontekście różnicowania wynagrodzeń. Dobrego wynagrodzenia za dobrą pracę. Musimy być świadomi ogromnej wagi wszystkich działań i przedsięwzięć zapewniających szkole i nauczycielom normalne funkcjonowanie. Jednym z warunków jest pozyskanie najlepszych ludzi dla oświaty. Niestety, przez wiele dziesiątek lat tak nie było.

— Oczywiście to prawda, że o sposobie funkcjonowania szkoły, o jej poziomie decydują nauczyciele. W poprzednich latach pedagogzy trafiali do szkół różnymi drogami, z różnych środowisk, nie zawsze w pełni przygotowani. W dalszym ciągu dyskutuje się różne warianty reformy oświaty w ścisłym powiązaniu z polityką kadrową. Co z tej dyskusji wynika? Jak pani kurator ocenia kadre nauczycielską w naszych szkołach podstawowych i średnich?

— Mamy to wielkie szczęście, że jeśli idzie o przygoto-



Fot. W. Lendzion

wanie formalne, to jest ono nieco lepsze niż gdzie indziej, plasujemy się gdzieś powyżej średniej krajowej. Mam na myśli nauczycieli z wyższym wykształceniem, których jest ok. 60 procent, co nie oznacza, że wszyscy nauczyciele z cenzusem to akurat ci, o których nam chodzi, że charakteryzują się zamiłowaniem do zawodu. Nie wystarczy w tym zawodzie nauczyć się rzemiosła i opanować materiał rzeczowy z danego przedmiotu, aby być dobrym nauczycielem. Doskonały pedagog to człowiek o bogatej psychice i o określonej osobowości. Człowiek, który chce z siebie dawać innym. Zresztą wszystkie znane teorie pedagogiczne kładą nacisk na powołanie. Pedagogowi, który ma tę iskrę bożą łatwiej podsyć jakiś płomień w młodym człowieku. To nie jest zawód dla wszystkich. Mając to na uwadze nie mogę stwierdzić, że wszyscy nauczyciele w naszym województwie charakteryzują się tymi przymiotami. Natomiast nie mogę pogodzić się z tym, że się wyciąga jakieś jednostkowe przykłady negatywnych postaw nauczycieli, uogólnia i w świat idzie fama, że wszyscy nauczyciele są do niczego. To nieprawda. Dzięki moim kontaktom ze środowiskami nauczycielskimi i wizytom w szkołach widzę, jak wiele wspaniałych rzeczy robią właśnie nauczyciele. Jest wielu pedagogów, którzy praktykę szkolną wzbogacają twórczym pierwiastkiem. Naturalnie, jest pewna grupa ludzi, którzy w tym zawodzie znaleźli się przypadkowo. Musimy jednakże na razie pracować z ludźmi, jakich mamy. Rzeczywiście, ideałem byłoby, gdyby wszyscy nauczyciele byli z powołania. Zgadnam się też, że powinniśmy jeszcze wiele zrobić, ażeby zmienić naszą nauczycielską mentalność. Najważniejsze, by pamiętać, że jesteśmy w szkole dla ucznia, spełniamy pewną funkcję wobec społeczeństwa za pośrednictwem szkoły. Znaczna część rodziców niesłusznie zbyt surowo ocenia nauczycieli. Kursują opinie o pedagogach, o ludziach niedostępnych, mających za-

wsze rację itp. Reaguję spokojnie na tego typu naciski i żądania i przypominam mądrą myśl Alberta Camusa: „Ileż potrzeba szalonego wysiłku, aby być tylko normalnym”. Problem finansowy, o którym mówiliśmy wcześniej, też ma negatywne znaczenie. Musimy się wszakże liczyć z tym, że absolwenci wyższych uczelni mając do wyboru atrakcyjniejszą w sensie finansowym pracę, wybierają tamte. Częstokroć są to ludzie, którzy chcieliby pójść do szkoły, którzy mają odpowiednie predyspozycje i zainteresowania. A nie idą ze względów czysto prozaicznych: odstręczają ich relatywnie niskie zarobki w oświacie. Stąd bardzo często nawet wśród dobrych nauczycieli utrzymuje się poczucie niedowartościowania. I to wszystko rzutuje na jakość pracy w szkołach. Narzuca się pytanie: co w takim razie z tym fantem zrobić? Trzeba, pomimo wszystko, doprowadzić do naturalnej selekcji. Dać szkołom pełną autonomię. Środowisko potrafi najlepiej ocenić jakość pracy poszczególnych jednostek. Nie da się tego absolutnie załatwić metodą administracyjną, w postaci jakiejś urzędowej weryfikacji nauczycieli. Nauczycieli trzeba docenić zarówno finansowo, jak i moralnie. Tworzą oni środowisko opiniotwórcze, odgrywające bardzo ważną rolę w kształtowaniu społecznej mentalności.

— *Czy jest pani za tym, by wszystkie gminy, miasta przejęły w swą gestię szkoły podstawowe?*

— Jak najbardziej. Mówiłam już o sprawach finansowych. Nie chciałabym jednak, ażeby finanse stanowiły koronny argument przemawiający za samorządową kuratelą nad szkołami. Istota rzeczy polega na tym, by szkoły były mocno osadzone w środowisku. Im bardziej będą związane ze swym środowiskiem, tym aktywniej będą działać na rzecz integracji lokalnej wspólnoty.

Spółeczność miejscowa winna mieć większy wpływ na charakter szkoły, ponieważ w różnych miejscach są różne potrzeby środowiskowe. Wiąże się to z decentralizacją zawiadywania szkołami. Dzięki niej wzmocnieniu ulega głos danego środowiska — nauczycieli, uczniów, terenowych władz. Niemożliwe jest dzisiaj centralne sterowanie oświatą. Można ogólnie określić pewne kierunki działania, ustalić prawo oświatowe. Nasze zadanie sprowadza się do stworzenia ram organizacyjnych szkolnictwa, które działaniem praktycznym wypełnia każde środowisko. Przed jednym chciałabym przestrzec. Przed tym, że na oświacie znają się wszyscy, a zatem mają gotowe recepty, jak np. powinien pracować nauczyciel. Oświata, jak każda inna dziedzina życia, potrzebuje profesjonalistów. Tworzenie społecznych rad szkoły jest niezwykle potrzebne. Nie zrobimy istotnego kroku naprzód, jeśli nie zdołamy wyłonić przyjaciół i sojuszników szkoły. Nie mogą oni jednak ingerować w wewnętrzne sprawy szkoły, w sam proces dydaktyczny. Społeczne rady szkół tworzymy nie po to, ażeby kontrolowały one szkołę, ale żeby wszystkie podmioty współtworzyły oblicze szkoły, rozumiały swoje miejsce i swoją rolę. Dziś rady znajdują się w punkcie startu, niektóre z nich od samego początku wspólnie funkcjonują. A niektóre borykają się z trudnościami. Dotyczy to szczególnie szkół społecznych, w których ogromną rolę odgrywają rodzice. Nadmierna kura tela przeszkadza w realizacji zadań wychowawczych. Po wspólnym ustaleniu najważniejszych zadań, należy obdarzyć kredytem zaufania ludzi, którzy pracują w szkole.

— *Demokracja to równość szans w oświacie. Jakie szanse edukacyjne w porównaniu ze swymi rówieśnikami z miast, mają dzieci ze szkół wiejskich na Kaszubach? Do lepiej, wyżej zorganizowanych zalicza się szkoły zbiorcze. Istotnym problemem dla sporej liczby dzieci jest dotarcie, dojazd do tych szkół. Czy tę kwestię należy uznać za całkowicie rozwiązana?*

— Zaczę od tego ostatniego pytania. Dowożenie dzieci do szkół pozostaje w gestii gminy. Uważam, że tworzenie takich szkół bardzo dobrze wyposażonych, niekoniecznie bardzo dużych, jest lepsze. Warunek, że organizacja dowożenia będzie bez zarzutu. Na Kaszubach występuje znaczne rozrzedkowanie dzieci, które muszą dojeżdżać nieraz z odległych miejscowości. Pytanie, czy wiejskie dzieci mają mniejsze szanse? Nic na to nie poradzimy, jeśli dzieci nie mieszkają przy Grunwaldzkiej we Wrzeszczu. Zamieszkanie na Kaszubach nie musi wcale oznaczać mniejszych szans. Moim zdaniem bardzo wiele szkół na wsi jest świetnie wyposażonych, ma znakomitych nauczycieli. Sporo szkół wiejskich ma kadre prawie w stu procentach z wyższym wykształceniem. Podstawowe znaczenie ma możliwość stworzenia odpowiednich warunków dobrym fachowcom. Dużo zależy od tego, czy gmina jest w stanie zapewnić im mieszkania. Na ile jest w stanie przyciągnąć tych, którzy z tej wsi studiują i zachęcić ich do pracy w rodzimym środowisku. Dotyczy to lekarzy i w ogóle ludzi legitymujących się innymi specjalnościami.

Co do szans edukacyjnych dzieci na wsi i w mieście. Nie podzielałabym poglądu, że wiejska placówka oświatowa niejako automatycznie daje dziecku gorszy start. Twierdę, że bardzo dużo szans oferują szkoły na wsi, których próżno szukać w mieście. Dzieci miejskie nie są wcale w takiej komfortowej sytuacji. Proszę popatrzeć na dzielnicę Chełm w Gdańsku. Do tamtejszej szkoły uczęszcza ponad trzy tysiące dzieci. Nie wiem czy w takim ogromnym tyglu efektywniej się uczy i wychowuje dzieci, czy być może w niewielkiej szkole na wsi, gdzie jest stu

uczniów i paru bez reszty oddanych tej gromadce nauczycieli. To, że jakaś pracownia nie będzie w pełni wyposażona, nie musi oznaczać, że te dzieci będą gorzej wyedukowane. Myślę, że czasy gorszego startu uczniów na wsi bezpowrotnie się skończyły. Stała presja standardów cywilizacyjnych na wsi, usprawnienia komunikacyjne, powszechne funkcjonowanie środków masowego przekazu, telefonizacja — wszystko to sprawia, że wieś kaszubska coraz bardziej wrasta w kulturę powszechną. Zerknęłam się z wieloma wiejskimi szkołami, w których poziom wychowania oceniałabym nawet wyżej niż w mieście. Dotyczy to szczególnie stopnia integracji ze środowiskiem. Problem zaczyna się w szkole średniej, do której uczniowie muszą dojeżdżać. Dziś mniej spośród nich mieszka w internatach, bo są one dosyć drogie. Dlatego też staramy się tworzyć licea i szkoły średnie w mniejszych środowiskach. Ta inicjatywa spotyka się nie tylko z aprobatą, lecz i z krytyką i zastrzeżeniami, że będą prezentowały niższy poziom. Poziom jednakże nie zależy od wielkości środowiska. Ważne, by jak największa ilość młodzieży przeszła przez pełną szkołę średnią.

— *Czy kuratorium dysponuje danymi statystycznymi, sondażowymi, które by orientowały, ile dzieci ukończyło w ubiegłym roku szkołę podstawową i jakie są ich dalsze losy.*

— Zaczę od tego, że co roku rośnie liczba młodzieży, która kończy szkołę podstawową. W tym roku było już ponad 22 tysiące absolwentów klas ósmych szkół podstawowych. Co roku przybywa ich około tysiąca. W związku z tym spadają na nas dodatkowe zadania. Po pierwsze trzeba zapewnić wszystkim miejsca w szkołach ponadpodstawowych i z tego udało się nam wywiązać. Po wtóre — dokonać zmiany struktury kształcenia na poziomie średnim. Po prostu trzeba zapewnić młodzieży możliwość ukończenia pełnej szkoły średniej. Jeszcze trzy lata temu ponad 60 procent młodzieży kształciło się w szkołach zawodowych. Dziś mamy znacznie lepszą relację. Mamy już 30 procent młodzieży w liceach ogólnokształcących, do niedawna tylko 18. Jest to nasze wielkie osiągnięcie. W szkołach zawodowych typu technika i licea zawodowe mamy ponad 27 procent młodych ludzi. Jeśli w najbliższych latach dojdziemy do 60 procent młodzieży w średnich i 40 procent w szkołach zawodowych, to będziemy bardzo zadowoleni. Warto zaznaczyć, że na terenie Gdańska powstało 15 nowych ogólniaków. To jest bardzo duża sprawa. Ważne, by już dziś przygotowywać się do rozwiązywania jutrzejszych problemów. Wiadomo, że w oświacie występują pewne cykle. Jest to związane z demografią. Obecnie notujemy wyż w szkołach średnich. Będzie on trwał do końca tego stulecia. Potem krzywa demograficzna wzrostu będzie powoli opadać. A ponieważ dzisiejsze dzieci, już jako dorośli, będą miały swoje dzieci, więc ów wyż ponownie trafi do szkół, z tym że punkt ciężkości przesunie się na szkoły podstawowe. W rezultacie nie będzie potrzebnych tyle szkół średnich, a zwiększy się zapotrzebowanie na miejsca w podstawówkach.

Pytał pan o losy absolwentów podstawówek i możliwości dalszego kształcenia. Aby było ono efektywne, trzeba rozpoznać rynek pracy. Z tym jest najwięcej kłopotów, ponieważ Wojewódzkie Biuro Pracy nie rozporządza takimi szczegółowymi prognozami przyszłościowymi. Jednakże obserwujemy procesy, które się toczą w gospodarce, w życiu społecznym. I staramy się przystosować szkoły zawodowe do potrzeb przyszłości. Diagnoza sytuacji staje się podstawą kształcenia w nowych kierunkach ekonomicznych, bankowych, ochrony środowiska i in-

nych, które w przyszłości będą procentować w naszym regionie. Czy ci ludzie znajdą zatrudnienie? Na to pytanie nie potrafię dzisiaj odpowiedzieć. Wiem jedno, że nasi dzisiejsi absolwenci — drugi rocznik — są bezrobotni. Ciągłe wydaje mi się, że jesteśmy w stanie zwiększyć nabór do uczelni wyższych. Podobno jest tylko 8 procent młodzieży, która studiuje. Na dobrą sprawę powinien on wyrażać się liczbą 20 procent. Następne 20 procent moglibyśmy ulokować w szkołach policealnych, gdzie uczy się już tylko zawodu. Inni kończyliby szkoły, które dawałyby konkretne umiejętności zawodowe. Uważam, że najpełniejszą gwarancję równości szans edukacyjnych daje oświata bezpłatna, od przedszkola po studia wyższe.

— *Po studia wyższe włącznie?*

— Oczywiście, jest to konieczne. Im bardziej demokratyczny dostęp do oświaty, do wiedzy, tym większa szansa wywołania talentów i ułatwienia startu ludziom zdolnym. Już teraz promujemy ich w różny sposób. Dzieci zdolne w tym samym procencie rodzą się w rodzinach biednych, jak i bogatych. Rzecz w tym, by możliwość kształcenia nie zależała od statusu materialnego rodziny.

— *Pewien procent młodzieży poprzestanie na wykształceniu, jakie dają szkoły zasadnicze. Czy w skali ogólnokrajowej podejmuje się praktyczne działania, obliczane na dostosowanie systemu kształcenia do struktury nowej rodzącej się gospodarki?*

— Powstał nawet taki zespół, który opracował koncepcję kształcenia zawodowego. Wiem, że na linii Ministerstwo Edukacji — inne ministerstwa, takie pertraktacje są w toku. Ażeby dobrze kształcić należy najpierw prawidłowo, trafnie określić potrzeby. Musi w tym partycypować zarówno oświata, jak i na przykład Ministerstwo Pracy. Również wojewódzkie biura pracy powinny określić, jak będzie z zapotrzebowaniem na fachowców.

— Dużo zależy od tego, kiedy gospodarka kraju wyjdzie z impasu i zacznie normalnie funkcjonować. W tej chwili na przykład spadło zainteresowanie szkołami budowlanymi, bo dziś mało się buduje. Ale jestem przekonana, że za pięć lat, kiedy młodzi ludzie skończą technika, inaczej już będą wyglądały inwestycje.

— *Przedmiotem krytyki często bywa pewien autorytaryzm polskiej szkoły, niedocenywanie partnerskiego układu między wychowawcą a wychowankiem, tendencja do zamykania się w systemie klasowo-lekcyjnym, przywiązanie do encyklopedyzmu. Nie przesądzam, że to są w pełni uzasadnione zarzuty. Coś jednak jest na rzeczy. W jakim kierunku ewoluje nasza szkoła, która musi przygotować młodego człowieka do udźwignięcia różnych problemów w zmieniającym się świecie?*

— Poruszył pan tu wiele zagadnień, które można by sprowadzić do dwóch pytań: czego uczyć i jak uczyć? Co do jednego chyba wszyscy jesteśmy zgodni, że obecny program jest zbyt encyklopedyczny, zbyt przeładowany informacjami. Za mało miejsca pozostawia na refleksję, na aktywność ucznia, na jego inwencję. W związku z tym szkoła nie uczy jak się uczyć. Nauczyć samodzielności, dociekliwości — to jest główny cel współczesnej szkoły. Przysnaję, że niezbędne jest jakieś kwantum wiedzy encyklopedycznej. Nie może ona przeważać nad wiedzą kształcącą myślenie. To jest istota problemu. Co by jednak nie powiedziało się krytycznego o systemie klasowo-lekcyjnym, ma on szereg mankamentów, ale jest nie do zastąpienia. Na dobrą sprawę system klasowo-lekcyj-

ny wcale nie uniemożliwia przejścia na inny styl pracy z uczniem.

Co prawda autokratyczny styl ciągle jeszcze przeważa w naszej szkole. Poniekąd jest prawdą, iż tkwi on korzeniami w naszej tradycji, w rozumieniu wychowania przez otoczenie, przez naszych rodziców. To wszystko trzeba brać pod uwagę. Natomiast należy odejść od stylu katedralnego. Model, mistrz — uczeń oferuje znacznie więcej możliwości. Wiąże się to z mniejszą liczebnością uczniów w klasie. A partnerstwo rozumiem jako zgodną i sympatyczną współpracę nauczyciela i ucznia. Pewien element przymusu istnieje w każdej pracy.

— *Jest takie powiedzenie: ten, kto chce zapanować nad przyszłością, powinien zatroszczyć się o swoją przeszłość, docenić wartości swego macecznika — historię, mowę rodzimą, literaturę. Regionalizacja nauczania wciąż nie wywołuje powszechnego zrozumienia i życzliwości. Żywnym nadzieję, że jest to proces, który z czasem ogarnie szersze kręgi nauczycieli, rodziców. Tym bardziej cieszą fakty dokonane, jak np. utworzenie w ubiegłym roku Liceum Kaszubskiego w Brusach, któremu pani kurator też pomagała przy narodzinach. Jest oczywiste, że w warunkach postępującej uniformizacji tożsamość regionalna jest zagrożona. Aby podglebie kulturowe regionu utrzymać w stanie twórczym, ażeby nie utraciło ono mocy sprawczej, konieczne jest wyraźniejsze i bardziej wszechstronne zaangażowanie szkół podstawowych i średnich w edukację regionalną. Gdańskie kuratorium jest chyba przekonane do potrzeby kontynuowania wysiłków na rzecz pogłębiania regionalizacji w szkołach.*

— Bez tradycji nie da się budować przyszłości. Oświata musi być zakorzeniona w kulturowym bogactwie narodu, regionu. Nie możemy wychowywać abstrakcyjnie. Musimy się oprzeć na określonych wartościach. Doceniając te wartości, wzmacnia się element godności naszego codziennego życia. Poważną rolę mają do spełnienia nawet ci nauczyciele, którzy nie mówią po kaszubsku. Chodzi o to, żeby młodzież, która jest stąd, z tej wioski, z tej szkoły, czuła się dowartościowana swoją tradycją. Wówczas będzie miała swe korzenie i będzie z nich dumna. Jeśli tego nauczyciel nie rozumie, to bardzo źle. Nie można uczyć patriotyzmu bez uczenia szacunku, utrwalania uczuciowej więzi z własnym regionem, miastem, gminą, językiem. W niczym język kaszubski nie może przeszkodzić w opanowaniu języka polskiego.

— *O jakimś przełomie w stosunku do regionalizmu nie można jeszcze mówić. W grę co najwyżej wchodziłoby inne spojrzenie ludzi związanych ze szkołą wobec kaszubszczyzny...*

— Na pewno uaktywnili się ci, którzy rozumieją to, co dla pana jest tak ważne. Oni mają już pole do działania.

— *Nie tylko z punktu widzenia Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego byłoby dobrze, gdyby pewne aspiracje, zalecenia regionalizacyjne wychodziły ze struktur oświatowych służb, by nie były jedynie wynikiem dobrej woli środowisk szkolnych.*

— Wiem jedno, tego nie da się ująć też tak jednoznacznie w jakieś administracyjne ramy. Wspieramy wszystkie działania związane z regionem. Tworzymy sprzyjający klimat. Dyrektywy — to czy tamto róbć — byłyby chyba niezbyt fortunne. Wkomponowanie w program nauczania treści regionalnych musi być dziełem ludzi, którzy to rozumieją i czują. By na co dzień nie brakowało szkole dowodów duchowego wsparcia ze strony całego społeczeństwa. ■

„WSPÓLNE DOBRO CAŁEGO SPOŁECZEŃSTWA”

Pierwsze zdanie ustawy z dnia 7 września 1991 roku o systemie oświaty brzmi: „Oświata w Rzeczypospolitej stanowi wspólne dobro całego społeczeństwa”. Dalej preambula wspomnianej ustawy mówi o tym, że edukacja winna służyć: „rozwijaniu u młodzieży poczucia odpowiedzialności, miłości ojczyzny oraz poszanowania dla polskiego dziedzictwa kulturowego, przy jednoczesnym otwarciu się na wartości kultur Europy i świata”. W przepisach ogólnych czytamy, iż jednym z głównych zadań systemu oświaty winno być: „zmniejszanie różnic w warunkach kształcenia, wychowania i opieki między poszczególnymi regionami kraju, a zwłaszcza ośrodkami wielkomiastowymi i wiejskimi”.

Tyle litera prawa, a jak się ma do tego rzeczywistość?

Ziemia Pucka obejmuje sześć gmin reprezentujących w większości społeczność wiejską albo małomiasteczkową. Mimo stosunkowo niewielkiej ilości mieszkańców, funkcjonuje tu aż pięć placówek szkolnictwa ponadpodstawowego, w tym trzy zespoły szkół, w skład których wchodzi co najmniej cztery jednostki składowe. Jest również zasadnicza szkoła specjalna.

Można by więc powiedzieć, że struktura oświatowa na Ziemi Puckiej jest niemal wymarzona. Wspomniane ośrodki kształcenia proponują edukację rolniczą, ekonomiczną, wykształcenie ogólne, a także wielostronne zawodowe — liceum ogólnokształcące i zawodowe, technika, szkoły zasadnicze oraz placówki umożliwiające zdobywanie wykształcenia średniego po ukończeniu szkoły zawodowej.

Wśród placówek oświatowych popularnością wśród młodzieży cieszą się szkoły zasadnicze. Jak w ubiegłym, tak i w bieżącym roku chęć uczenia się w nich zadeklarowało na Ziemi Puckiej 56 procent ósmoklasistów. Szczególnie oblegane przez kandydatów są klasy wielozawodowe oraz profil — wiejskie gospodarstwo domowe w szkołach rolniczych. Równocześnie jednak są to kierunki, z których najczęściej kształcą się

w nich uczniowie rezygnują. W ubiegłym roku szkolnym ponad połowa uczniów, którzy przerwali naukę reprezentowała właśnie tę grupę specjalizacji.

Od ubiegłego roku wzrasta zainteresowanie absolwentów szkół podstawowych edukacją ekonomiczną. W tym roku dwa tego typu licea, funkcjonujące w Zespole Szkół Rolniczych w Kłaninie oraz Zespole Szkół Zawodowych w Pucku są jedynymi placówkami, które nie mogą narzekać na brak kandydatów — stosunek liczby zgłoszeń do ilości oferowanych miejsc w obu szkołach oscyluje w granicach 2:1.

W zdecydowanym odwodzie znajdują się natomiast licea zawodowe i technika rolnicze. W bieżącym roku szkolnym na ofertę przedstawioną przez powyższe placówki udało się zgromadzić zaledwie 53 procent zgłoszeń, łącznie więc na jednego kandydata czekają mniej więcej dwa wolne miejsca. Podobna relacja występuje w utworzonym rok temu liceum ogólnokształcącym na Helu. Inny „ogólniak”, tym razem w Pucku, doczekał się zgłoszeń przekraczających jedynie o jedno liczbę miejsc przygotowanych dla uczniów klas pierwszych. Jednocześnie w ubiegłym roku szkolnym z klas pierwszych zrezygnowało w czasie trwania roku szkolnego aż pięciu uczniów.

Oświata w Rzeczypospolitej stanowi wspólne dobro całego społeczeństwa. Szkoda, że owo dobro nie do końca jest zagospodarowane. Ostatnio spotkania lokalnych samorządów coraz częściej podnoszą kwestię konieczności restrukturyzacji szkolnictwa ponadpodstawowego na Ziemi Puckiej i dostosowania go do aktualnych potrzeb środowiska. Nikt jednak nie jest w stanie dokładnie określić, jakie w rzeczywistości tak naprawdę są owe potrzeby. Mówi się o konieczności przygotowania kadr do obsługi turystycznej, o kształceniu fachowców od agromarketingu oraz przetwórstwa rolno-spożywczego. Jednocześnie jednak właściwie nie zmienia się na rynku pracy, również w tych rzekomo preferowanych kierunkach.

Absolwenci szkół podstawowych sami więc szukają kierunków, które rokuje choćby minimum nadziei na znalezienie pracy. Stąd taki gremialny odwrót od kształcenia ogólnorolnego, przy jednoczesnej chęci pobierania nauk ekonomicznych. Znacznie większym problemem są młodzi ludzie, którzy w ogóle nie widzą potrzeby dalszej nauki. W ubiegłym roku szkolnym z nauki rozpoczętej w szkołach ponadpodstawowych zrezygnowało 6,6 proc. uczniów. Jeżeli dodamy do tego 4 proc. uczniów, którzy z różnych przyczyn nie podjęli nawet starań o znalezienie odpowiedniej dla siebie szkoły średniej, przekonamy się, że niemal co dziesiąty absolwent klasy ósmej na Ziemi Puckiej kończy edukację na poziomie szkoły podstawowej. Przyczyn takiego stanu rzeczy nie można doszukiwać się jedynie w lenistwie czy braku chęci do nauki. Częstą przyczyną owej tragicznej sytuacji jest fatalna kondycja finansowa rodziców tej młodzieży. Nierzadko same już koszty dojazdu przekraczają skromne możliwości finansowe rodziny. A za co kupić podręczniki, opłacić składki proponowane przez szkoły, ubrać dziecko i wyposażyć je w podstawowy sprzęt niezbędny do pracy ucznia w szkole? Nie bez przyczyny najczęściej przerwający edukację w szkołach ponadpodstawowych uczniowie wywodzą się z miejscowości, w których aktualnie likwidowane są państwowe gospodarstwa rolne. Tu dochód na całą, często kilkusobową rodzinę bywa łącznie z zasiłkami obliczany na sumę niewiele przekraczającą milion złotych. Bywa, że i tyle nie ma w domu każdego miesiąca.

Pamiętajmy, że wybór gorszej szkoły, rezygnacja, lub zaprzestanie dalszej nauki dotyczy naszych następców, pokolenia, które raczkuje w dorosłość. Czy nie szkoda, że od razu, na jej progu tracą szansę rozwoju? To oni przecież nas zastąpią. To oni będą zagospodarowywać Rzeczpospolitą. To oni, wszyscy razem i każdy z osobna, są albo być powinni owym: wspólnym dobrem całego społeczeństwa. ■

DROGI I BEZDROŻA WIEJSKIEJ SZKOŁY

Rok szkolny 1991/92 był wyjątkowo trudny, a to z racji permanentnego zagrożenia egzystencji szkół, nauczycieli, a w szczególności dyrektorów szkół. Tymczasowość rozwiązań w siatce godzin, cięcia programowe, likwidacja działalności pozalekcyjnej szkoły, to główne skutki ograniczeń budżetowych w sferze działalności dydaktycznej szkół. Jeśli do tego dodać wszelkie zawirowania polityczne i społeczne w najbliższym otoczeniu i w samej szkole, jawi się szara, smutna rzeczywistość polskiej szkoły. Są już tego stanu rzeczy konkretne efekty. Egzaminy do szkół średnich w gdańskim województwie dowiodły, że poziom wiedzy tegorocznych ósmoklasistów okazał się niepokojąco niski. Obawiam się, że w przyszłym roku może być jeszcze gorzej. Są jednak szkoły, które wylamują się z tego szablonu. Do takich należy Szkoła Podstawowa w Wielu. Analiza losów szkolnych byłych uczniów wielewskiej szkoły w okresie ostatnich lat pozwala na pewien optymizm.

W roku szkolnym 1987/88 na 38 absolwentów 3 wybrało licea, 9 technika i szkoły im pokrewne. Łącznie 32 proc. uczniów kontynuowało naukę w szkołach ponadpodstawowych. W następnym roku spośród 19 absolwentów 4 wybrało licea, 6 technika, co daje 36 proc. W roku szkolnym 89/90 4 uczniów spośród 32 wybrało liceum, 3 technika, co stanowi 22 proc. W dwóch ostatnich latach wzrosła liczba uczniów podejmujących naukę w szkołach ponadpodstawowych. Wyraźna jest preferencja liceów. W roku szkolnym 90/91 7 spośród 31 zdecydowało się na naukę w tym typie szkoły, w następnym liceum wybrało 15 z 45 absolwentów. Zmniejszyła się natomiast liczba uczniów preferujących technika — odpowiednio 4 i 6. W roku szkolnym 90/91 35 proc. uczniów podjęło naukę w szkołach ponadpodstawowych, rok później 47 proc.

Na szczególny wzrost popularności wśród naszych uczniów liceów ogólnokształcących wpłynęły dwie, moim zdaniem, najważniejsze przyczyny. Są to: większa dostępność do szkół średnich z jednej i upadek rolnictwa zawodowego z drugiej strony. Większa do-

stępność to nie tylko utrzymująca się tendencja zwiększania liczby klas pierwszych w liceach, głównie ogólnokształcących, to także, a może przede wszystkim, powstanie Liceum Kaszubskiego w Brusach. W trójkącie Kościerzyna, Chojnice, Czersk odważna decyzja mieszkańców Brus, wsparta działaniami Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, a także autorytetem części kadry naukowej Uniwersytetu Gdańskiego, zaowocowała powstaniem szkoły, której prestiż rośnie. Jeśli nie opadnie entuzjazm twórców liceum, a lobby kaszubskie Uniwersytetu Gdańskiego dotrzyma złożonych deklaracji, Liceum Kaszubskie w Brusach będzie się liczyć na mapie szkół średnich województwa bydgoskiego i gdańskiego.

W ubiegłym roku szkolnym, który inaugurował działalność tej szkoły, na naukę w niej zdecydowała się tylko jedna uczennica z Wiela. W tym roku już ósemka uczniów, a więc więcej aniżeli w LO w Czersku, które dotychczas było prawie szkołą bazową dla naszych absolwentów. Większa oferta szkolnictwa średniego i mniejsza zawodowego wymusiły na tzw. średniakach dokonanie wyboru „w górę”. Rodzice naszych uczniów w powstaniu szkoły w Brusach widzą dodatkową szansę dla swoich dzieci. Jeszcze przed dwoma laty lęk przed porażką, przed środowiskową przyganą powodował, że część dobrych uczniów, którzy w ocenie nauczycieli reprezentowali poziom porównywalny do rówieśników z dużych miast, rezygnowała z liceów na korzyść szkół zawodowych. A więc równali „w dół”.

Spostrzeżenia z pozycji wieloletniego dyrektora szkoły podstawowej, czynione na kanwie egzaminów do szkół średnich uczniów szkół w Wielu i Brusach, pozwalają wysunąć wniosek głębszej natury. Rzecz dotyczy różnic w szansach zdobywania wiedzy przez dzieci miejskie i wiejskie. Prawie wszyscy zbiednieliśmy. Bieda na wsi kaszubskiej staje się faktem. Dla wielu rodziców naszych uczniów opłata biletu miesięcznego na dojazdy do szkół, bo o internatach i bursach lepiej nie wspominać, staje się barierą trudną do pokonania. Dlatego tworzenie liceów podobnych do bruskiego to nie tylko

nobilitacja takiego czy innego miasteczka, to „potrzeba chwili” dla całych rejonów kaszubskiej ziemi.

Porównując datę powołania Liceum Kaszubskiego z liczbą uczniów podejmujących naukę w liceum, wyraźnie widać związek między obu faktami. Liceum Kaszubskie zapelnia lukę popytu na taką szkołę. Czy jednak powstanie szkoły średniej w tak małym miasteczku nie spowoduje zaniżenia kryteriów przyjęć do okolicznych liceów? Jeśli nawet przyjąć, że procent uczniów słabszych w tej szkole może być wyższy niż w liceach o uznanej renomie, to fakt, że po roku pracy szkoła przyjmuje dwie pełne klasy, unąć trzeba za bezsporny jej oraz środowiska sukces.

Cieszy dojrzałość, a może i instynkt samozachowawczy ludzi na wsi. Przy całej biedzie, bałaganie instytucjonalnym i kompetencyjnym w państwie, wieś broni a nawet rozwija swoje szkoły. Myślę, że ci z wysoko postawionych urzędników, którzy obawiali się przekazania szkół samorządom, mogą swoją energię przenieść na inne obszary. Po dwóch latach wszelkich klęsk w oświacie jedno zdaje się pewne — gminy nie zniszczą swoich szkół. Wręcz odwrotnie, będą je rozwijać, nawet jeśli miałyby to stać się kosztem innych sfer życia społecznego na wsi. Dowodzą tego przeróżne inicjatywy w gminach na rzecz oświaty. To, że samorządy gmin Karsina i Brus łożą na oświatę, pomimo że szkół jeszcze nie przejęły, nikogo już nie dziwi. Rada Gminy w Karsinie przekazała większość nadwyżki budżetowej za rok 1991 (300 mln zł) na budowę szkoły w Wielu. Wreszcie Fundacja Rozbudowy i Społeczny Komitet Budowy Szkoły w Wielu znajdują szersze zrozumienie. Wychodzi na to, że środowisko Wiela i gminy Karsin rozumie, że szkoły już nikt im nie wybuduje, musi powstać siłami gminy, fundacji i kuratorium.

Na przykładzie szkół w Wielu i Brusach widać, że inicjatywy oddolne w oświacie gminnej mogą być w miarę skuteczne, nawet w tak trudnych czasach jak obecne, pod warunkiem, że znajdują się ludzie, którym „się chce chcieć...” ■

Nazwisko Szroederów z Kłęczna często pojawia się w różnych publikacjach poświęconych Kaszubom bytowskim. Antoniego Szroedera wspominają historycy, a na jego syna, Stanisława, powołują się etnografowie.

Stanisław Szroeder jest dziś emerytowanym nauczycielem. Człowiekiem bardzo skromnym, nie lubiącym rozgłosu. Nie używa wielkich słów, stroni od patosu nawet wówczas, gdy mówi o dramatycznych sprawach.

Ojciec, Antoni, był właścicielem dużego, czterystumorgowego gospodarstwa. Rodzina Szroederów, z jedenaściorcem dzieci, żyła skromnie, lecz nie należała do biednych. Ojciec zajmował się nie tylko prowadzeniem gospodarstwa, ale z poświęceniem współdziałał w akcji rozwijania polskiego szkolnictwa, którą prowadził Związek Polaków oraz Towarzystwo Szkolne. Polacy na ziemi bytowskiej teoretycznie mogli organizować szkoły polskie, jednakże zgoda na ich otwarcie była uwarunkowana przez władze niemieckie spełnieniem licznych wymogów. Na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych polskie szkoły powstały między innymi w Płotowie, Oslawie Dąbrowie, Ugoszczy i Rabacinie. Kaszubi z Kłęczna też domagali się otwarcia polskiej szkoły. Mieli nawet nadzieję, że Niemcy udostępnią im jedną z klas istniejącej w Kłęcznie szkoły niemieckiej. Tymczasem Niemcy, którzy byli mniejszością wśród kaszubskich mieszkańców wsi, bojąc się że polska szkoła tak się rozwinie, iż niemiecka okaże się niepotrzebna, powiedzieli — nie.

— Powiedzieli: „Jak chcecie, to postarajcie się o własny lokal na szkołę” — przywołuje rodzinne wspomnienia Stanisław Szroeder, jako że w tym okresie był ledwie paroletnim dzieckiem. — Takiego pomieszczenia we wsi jednak nie było. I wówczas ojciec wpadł na pomysł, żeby rozbudować dom mieszkalny. Doskonale przypominam sobie tę dobudówkę: obszerną salę, w której była biblioteka, przestronny hall i pomieszczenia sanitarne. Początkowo ojciec nie wyjawiał, że to będzie szkoła. Mówił, że ma dużą familiję i potrzebuje dodatkowych pomieszczeń. Tajemnicy długo nie dało się jednak utrzymać i trzeba było powiedzieć prawdę. Nadsłane władze budowlane stwierdziły, że sala lekcyjna jest za niska i nie odpowiada obowiązującym parametrom. „To so dō zrobic” — powiedzieli robotnicy i w ciągu jednej nocy specjalnie skonstruowaną dźwignią podnieśli sufit do wymaganej wysokości, dołożyli cegiel i poprawili tynk. Następnego dnia ojciec mógł już zgłosić, że usterka została usunięta. Była więc szkoła i jej wyposażenie, łącznie z ławkami, wszystko sfinansowane przez ojca z pożyczki zaciągniętej z Kasy Polskiej w Bytowie. Był też wyznaczony już do tej szkoły polski nauczyciel Szumocki (w roku 1939 zamordowany przez hitlerowców pod Sarnowami). Niemieckie władze oświatowe nie wydały jednak zezwolenia na otwarcie szkoły. Najprawdopodobniej właśnie z tej przyczyny, iż obawiały się, że niemiecka szkoła opustoszeje.

Stanisław Szroeder utrzymuje, że Niemcy wydawali zezwolenia na otwarcie polskich szkół jedynie w tych miejscowościach, w których nie zagrażały placówkom niemieckim i gdzie Polacy rzeczywiście stanowili mniejszość. Założenie polskiej szkoły w Oslawie Dąbrowie przyczyniło się właśnie do tego, że niemiecka, z braku dzieci, została zamknięta. Od tego czasu Niemcy byli

bardzo ostrożni z wydawaniem zezwoleń na działalność polskich placówek oświatowych.

Antoni Szroeder, określany przez władze niemieckie jako „jeden z przywódców polskiej mniejszości narodowej”, po raz pierwszy otrzymał nakaz opuszczenia pasa przygranicznego w styczniu 1939 roku. Niemcy dwukrotnie przychylnie załatwili jego odwołania. Gdy otrzymał nakaz po raz trzeci, w lipcu tegoż roku, jego prośba nie została uwzględniona. Udał się wówczas do Berlina, gdzie wraz z wieloma innymi wygnańcami zamieszkał w bursie założonej przez Związek Polaków w Niemczech. Tymczasem pozostali członkowie rodziny nadal prowadzili gospodarstwo.

1 września Antoni Szroeder został aresztowany i osadzony w obozie w Oranienburgu. Niemcy oskarżyli go o zdradę stanu, zarzucając mu, że od marca do kwietnia 1933 roku kontaktował się z polskim wywiadem. Nikt z rodziny ani znajomych nie został dopuszczony na rozprawę. To, co utrwaliło się w pamięci syna, stanowi zlepek rodzinnych wspomnień i różnorakich relacji.

— Jako świadka powołali Niemcy między innymi spokrewnionego z nami Jana Borzyszkowskiego z Jabłuszka — mówi Stanisław Szroeder. — Być może ojciec rzeczywiście kontaktował się z wywiadem, trudno mi teraz o tym przesądzać. Był to okres, gdy Hitler dochodził do władzy i prawdopodobnie któryś z buszujących wówczas nad granicą polsko-niemiecką członków paramilitarnej organizacji SA złożył doniesienie na ojca. Rozprawa odbyła się w „majestacie prawa”. Z obozu w Oranienburgu ojciec został przewieziony do więzienia Moabit w Berlinie. Wyznaczyli mu adwokata z urzędu. Matka mogła go odwiedzać, rozmawiać na odległość, odgradzona dwiema siatkami i pod czujnym okiem strażnika. Pamiętam, że była dwukrotnie w Berlinie.

Wyrok zapadł 2 grudnia 1942 roku. Antoniego Szroedera skazano na śmierć. Ta wiadomość spadła na rodzinę jak grom z jasnego nieba. Nikt bowiem nie przypuszczał, że hitlerowcy sięgną po najwyższy wymiar kary. Wyrok został wykonany 1 kwietnia 1943 roku. Przez cały czas oczekiwania na wykonanie wyroku skazanemu nie zdejmowano kajdan.

— Kapelan więzienny przekazywał nam informacje o ojcu, o jego zachowaniu, stanie ducha. Razem z ojcem na karę śmierci skazany został brat matki, Piotr Gostomski. Kapelan mówił, że ojciec, w przeciwieństwie do wuja Piotra, zachowywał się bardzo spokojnie i godnie. Odprowadzał ojca, na jego życzenie, aż na miejsce śmierci. „Słowa, które wyrzucił katom przed samym ścięciem, wyznam wam dopiero po wojnie” — powiedział nam kapelan, ale tak się złożyło, że już nie miał okazji nam tego wyjawić. Po wykonaniu wyroku otrzymaliśmy z Berlina paczkę z rzeczami ojca, wszystkie drobizgi, ze skarpetkami włącznie. Otrzymaliśmy także



pismo z zapytaniem, czy życzymy sobie, by prochy zostały przesłane do Kłaczna. Zrozpaczeni, nie dowierzając opracowcom czy rzeczywiście prześlą szczątki ojca, nie skorzystaliśmy z tego prawa.

Z chwilą ogłoszenia wyroku hitlerowcy skonfiskowali Szroederom całą nieruchomość, łącznie z ziemią. Najmłodszy z rodzeństwa, Heliodor, miał zaledwie pięć lat.

— *To był dla nas strasznie ciężki okres* — podsumowuje lakonicznie Stanisław Szroeder.

Na początku stycznia 1945 roku, jako szesnastoletni chłopiec, otrzymał powołanie do Wehrmachtu. Do wojska jednak nie poszedł. Zaczął się ukrywać. Kryjówka znajdowała się w Łyśniewie w Kartuskiem, w gospodarstwie kuzyna Antoniego Peplińskiego, dziś księdza i poety kaszubskiego. Prócz Stanisława Szroedera, wówczas obywatela niemieckiego narodowości polskiej, i kilku innych Polaków, ukrywali się tam trzej Rosjanie i dwaj Włosi. Ci ostatni byli uciekinierami z niemieckich obozów.

„Wyzwoliciele” witali w Łyśniewie. Pierwsi żołnierze Armii Czerwonej byli przyjmowani przez mieszkańców wsi z wielką radością. Ufano Rosjanom i traktowano ich jako wybawców. Niejaki Leon Lis, miejscowy gawędziarz i dicmorosły polityk, zadeklarował się żołnierzom sowieckim służyć za przewodnika po terenie. Pojechali z nim pierwszym czołgiem, lecz po jakimś czasie gospodarz wrócił sam, bez butów i zegarka „przeł liwku”. Następni Rosjanie bez skrupułów zabierali wszystko, co się ruszało, nadawało do jedzenia bądź przyodziewku. W Kłacznie żołnierze Armii Czerwonej pojawili się 8 marca i tego samego dnia zgromadzili wszystkich mężczyzn oraz młodzieńców i poprowadzili w kierunku wsi Luboń, gdzie ponoć mieli naprawić uszkodzony most. Wśród nich był między innymi brat Stanisława Szroedera — Zygmunt. Wymarsz z Kłaczna okazał się niebawem zwykłym uprowadzeniem. Liczna grupa Kaszubów z Kłaczna, razem z wielu innymi z okolicznych wsi, przez Bytów, Chojnice, Działdowo, została przetransportowana na daleki Ural. Niektórzy pozostali

tam na zawsze. W Łyśniewie czerwonooarmiści dopytywali się również o Stanisława Szroedera, „tego dezertera z Wehrmachtu”, lecz on, w porę ostrzeżony, przedłużył okres ukrywania się o dalszych kilka tygodni.

— *Tutejsi Niemcy w ogóle nie wychodzili z kryjówek. Natomiast nasi poczciwi Kaszubi zostali przez Ruskich wyłapani jak śliwki z kompotu.*

Po wojnie nastąpił trudny czas budowania nowej rzeczywistości.

— *Było różnie* — zaczyna swoją opowieść o tamtych latach.

— *Byli urzędnicy, przybysze, którzy znali sytuację na tych ziemiach i mieli wiele dobrej woli. Najbardziej jednak zapamiętuje się tych, którzy czynili zło, kradli, szabrowali. W Kłacznie gdzie mieszkali prawie wyłącznie Kaszubi, ludność potrafiła się bronić. Zarówno sołtysem, jak i pierwszymi milicjantami, porządkowymi, zostali swoi ludzie, do których można było mieć pełne zaufanie.*

W owym czasie Stanisław Szroeder był bodaj jedynym w Kłacznie, który otarł się o przedwojenne polskie gimnazjum. W dniu włączenia Austrii do hitlerowskiej Rzeszy w 1938 roku, młody niemiecki nauczyciel, nazista, zmusił dzieci do słuchania radia oraz śpiewania z podniesioną ręką hymnu „Deutschland, Deutschland, über alles”. Stanisław Szroeder zbuntował się przeciwko nakazowi nauczyciela, za co otrzymał straszne cięgi. Gdy dowiedział się o tym ojciec, postanowił od nowego roku szkolnego, który zaczynał się wówczas w kwietniu, wysłać go do gimnazjum w Kwidzynie. Zaledwie trzy miesiące nauki w tej szkole pozwoliły panu Stanisławowi na poznanie podstaw języka polskiego.

— *Zaraz po wojnie* — wspomni — *każda korespondencja przechodziła przez moje ręce. „Bo Stach nôlepi po polsku umiół”. Ale okazało się, że i ja nie radziłem sobie z niektórymi słowami. Pewnego razu przyszło pismo zawiadamiające, że przeciwko jednemu z mieszkańców naszej wsi toczy się śledztwo. Dopiero po paru dniach rozszyfrowałem, co znaczy owo „śledztwo”. To jest tylko cząstka obrazu przedstawiająca bariery językowe, z jakimi borykaliśmy się tuż po wojnie. Polski słyszeliśmy tylko w kościele, i to był język odświętny, religijny. Tak naprawdę znaliśmy tylko kaszubski i niemiecki.*

Z inicjatywy Stanisława Szroedera młodzież w Kłacznie wystawiła już w 1945 roku pierwszą sztukę teatralną, jednoaktówkę „Przyjmujemy o ósmej trzydzieści”. Ten pierwszy kontakt z polskim językiem literackim ludziom we wsi sprawił wiele radości. Naukę w szkole rozpoczęto dopiero w 1947 roku.

— *O mój Boże, ile w ludziach było wtedy entuzjazmu! W Studzienicach po wojnie nauczycielem został przedwojenny szkolny, Marceł Labon. Codziennie wieczorem młodzież szkolna i starsza chodziła pieszo do niego na lekcje, by się nauczyć pisać i czytać po polsku. Ten wielki entuzjazm zaczął opadać pod koniec lat czterdziestych. Ludzie szczególnie nie mogli znieść niechęci i szykan władz wobec Kościoła. To, że zachowała się tutaj swojska kultura, rodzinny język, wiara ojców, zawdzięczamy przede wszystkim polskiej parafii, Kościołowi katolickiemu. Według mnie nieprawdą jest to, co ponad sto lat temu pisał Aleksander Hilferding w swoim raporcie „Resztki Słowian na południowym wybrzeżu Morza Bałtyckiego” o stanie kaszubszczyzny między innymi w Ostwie Dąbrowie i Przewozie. Te tereny były pod wpływami Kościoła katolickiego i tu naprawdę słowiańszczyzna, kaszubszczyzna, w przeciwieństwie do ziemi Słowińców, miała się dobrze. On mō w ti ksącce wiele nazełgōne* — kończy opinię o dziele rosyjskiego uczonego.

Rodzina Szroederów, jak wiele innych tutaj, za sprawą reformy rolnej pozbawiona została większej części swojej ziemi. „Władza ludowa” przyznała im 5 hektarów gruntów jako rekompensatę za zasługi w podtrzymywaniu polskości. Szroederom udało się odzyskać 10 hektarów ojcowizny, za które musieli zapłacić. Za tatecznę.

Po wojnie Stanisław Szroeder bardzo chciał się kształcić. O możliwości nauki dowiedział się przypadkowo.

— Podczas jednego z nabożeństw w Ugoszczy ksiądz poinformował o otwarciu w Bytowie od września 1945 roku gimnazjum. Byłem jednym z pierwszych, którzy się zgłosili. Do szkoły średniej przygotowywałem się jeszcze podczas wojny, na tajnym nauczaniu w Łyśniewie, które prowadził Antoni Pepliński. Byłem na tyle dobrze przygotowany, że w Bytowie zdałem egzamin do drugiej klasy gimnazjalnej, ale rozpocząłem pierwszą, która obejmowała program dwóch klas. Do Bytowa najpierw dojeżdżałem rowerem, a potem pociągami. Gdy utworzono niewielki internat, a raczej schronisko, przebywałem tam w okresie zimowym. Sami musieliśmy troszczyć się o żywność, czasami korzystaliśmy z darmowej kuchni PCK. Po uzyskaniu tak zwanej malej matury, ze względów finansowych musiałem przerwać naukę. Podjąłem ją w 1949 roku, ale tym razem już w liceum wieczorowym w Kościerzynie. Przyjmował mnie ówczesny dyrektor Alfons Wysocki (publikował później swoje teksty w „Pomeranii”). Bardzo przyjemny chłop, wiele mu zawdzięczam. Maturę uzyskałem w 1950 roku. W Kościerzynie czuło się tę swojskość, nikomu nie przeszkadzało kaszubskie pochodzenie. Tego, niestety, w powojennym Bytowie nie było.

Pracę w szkolnictwie podjął jeszcze w trakcie nauki w kościerskim liceum. Początkowo był nauczycielem w szkole w Sarnowach. Potem uczył w Studzienicach. Kłopoty zdrowotne sprawiły, że poprosił władze oświatowe o przeniesienie do szkoły w rodzinnym Kłęczynie, gdzie było znacznie mniej zajęć. Z zamiłowania społecznik, niespokojna dusza, nie poprzestał jedynie na pracy nauczycielskiej. Nie tylko prowadził miejscowy zespół pieśni i tańca, który odgrywał również kaszubskie sztuki sceniczne, ale także zorganizował znaną w okolicy Izbę Pamięci. Sam zgromadził wiele eksponatów, inne otrzymał od etnografa Ryszarda Kukiera, autora książki „Kaszubi bytowscy”. Pierwszym eksponatem w tej izbie była łódź-dłubanka, znaleziona przez rybaków, następnym grób skrzynkowy, wyorany przez rolnika. Po latach izba zapełniła się tyloma przedmiotami, że mogła już jedynie służyć jako muzealny magazyn. Łódź przejęło później Muzeum Miejskie w Koszalinie, a większość eksponatów Muzeum Zachodniokaszubskie w Bytowie.

Na nauczycielską emeryturę Stanisław Szroeder przeszedł w 1984 roku. Wciąż żywo interesuje się sprawami regionu, bywa na różnych imprezach kulturalnych odbywających się na ziemi bytowskich Kaszubów. Sam patronuje przebiegającym gwiazdkowym, odwiedzającym domostwa w okresie Bożego Narodzenia, oraz corocznej, odbywającej się od 1945, imprezie pod nazwą „Wieczór Świętojański”. Zawsze podczas wieczoru odbywa się zabawa, uroczysty przemarsz nad jezioro, ognisko oraz spektakl z wymyśloną na tę okazję postacią — Kłęczyna Wielkiego — uosabiającą głos sumienia, przywołującą różne przewinienia i zaniedbania mieszkańców Kłęczna. Impreza cieszy się ogromnym powodzeniem nie tylko we wsi, ale również wśród mieszkańców wielu okolicznych miejscowości. Stanisław Szroeder bardzo wzbrania się przed propozycjami sfilmowania jednego z tych osobliwych wieczorów twierdząc, że telewizyjna kamera zabiłaby spontaniczność i naturalny urok tej imprezy.

Wieś liczy zaledwie dwieście „dusz” i prawnie bywa tak, że każda z rodzin poprzez swoich przedstawicieli włącza się w przedsięwzięcie organizowane przez Stanisława Szroedera. Nawet teraz, gdy piętrzą się przed mieszkańcami wsi różne codzienne trudności, może na nich liczyć. Dla nich natomiast jest starym szkolnym, który chętnie służy doświadczeniem i radą, a gdy trzeba pomoże zredagować list do jakiejś instytucji czy przedstawicieli władzy.

Jest swoistym strażnikiem miejscowej pamięci historycznej, kultury, tradycji. Ilu takich jest na Kaszubach? Chyba niemało. ■

S*K*R*A ORMUZDOWA

Tadeusz Bolduan

HISTORYK W SUTANNIE

Szczupły, wysoki, krótko ostrzyżony. Bardzo rzeczowy w rozmowach, z natury raczej oschły, ale życzliwy ludziom. Ceni nade wszystko pracę. Do dobrych posiłków nie przywiązuje znaczenia. Przyjmowanych na plebani gości częstuje „biskupią” kawą, zwaną lurą. Nie zna się na kawie (to grzech!), nie używa alkoholu, nie pali. Żywiołem jego są archiwa, biblioteki, księgarnie i oczywiście wielotysięczne zbiory własne. Mówią o nim, że jest człowiekiem z kaszubskich lasów i piasków, odpornym na przeciwności życia, świetnym organizatorem i światłym kapłanem.

Wyróżniony Skrą Ormuzdową ks. mgr Władysław Szulist przebił się przez życie samodzielnie, z istic kaszubskim uporem. Urodził się w 1936 roku w Skorzeźnie pod Kościerzyną w gburowskiej rodzinie Pawła i Elżbiety z domu Jakubek. W 1937 roku rodzice przeprowadzili się na ojcowiznę do Gostomka, gdzie na 100 hektarach ziemi i lasów gospodarował dziadek Ferdynand, posiadający nadto 30-hektarowe jezioro. Podczas okupacji niemieckiej ojciec Władysława osadzony został w obozie koncentracyjnym Stutthof za współpracę z Tajną Organizacją Wojskową „Gryf Pomorski”. Po wojnie szczęśliwie wrócił do domu. W 1945 roku tzw. władza ludowa zabrała ojcu, uznanemu za obszarnika, ziemię, lasy i jezioro. W 1959 roku rodzice wykupili część własnej ziemi od państwa i trochę nabyli od sąsiadów, tak że obecnie ich syn Waław gospodaruje na 19 hektarach.

Do szkoły podstawowej Władysław Szulist uczęszczał w Gostomku i Lipuszu, do gimnazjum w Wejherowie, a następnie do Collegium Marianum Duchownym w Pelplinie, w którym był członkiem Klubu Studentów Kaszubów, a w roku akademickim 1958/59 jego przewodniczącym, czyli królem. W 1980 roku na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim obronił pracę magisterską o emigracji kaszubskiej w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie.

Po święceniach kapłańskich w lipcu 1959 roku został wikarym w Wielkim Czystym koło Chełmna, następnie w Konarzynie Chojnickich, Gdyni-Małym Kacku, Chwaszczynie, Golubiu-Dobrzyniu i Wejherowie. W 1972 roku otrzymał probostwo w Mściszewicach, gdzie wyremontował kościół, zagospodarował jego otoczenie, wybudował nową plebanię i budynek gospodar-



czy. Rozglądał się jednak za parafią w pobliżu Trójmiasta (uniwersytet, archiwum, biblioteki, księgarnie). Trudną parafią była Matarnia, położona na pograniczu z diecezją gdańską, z nowym lotniskiem, koszarami wojskowymi i blokami ZOMO. Położony na pustkowiu kościół wymagał remontu i konserwacji, podobnie jak inne obiekty kościelne. W dekanacie żukowskim nie było chętnych na tę parafię, więc objął ją ks. Szulist. Obok normalnych posług duszpasterskich remontuje obiekty kościelne i w tej swojej samotni pracuje naukowo.

Z Mściszewic odbył podróże badawcze do Kanady i Stanów Zjednoczonych (1975 i 1979), oraz do Londynu (1981); z Matarni do Hamburga i Hanoweru (1984), gdzie penetrował archiwa, zaś w lipcu bieżącego roku prowadził badania w Paryżu.

Ks. mgr Władysław Szulist opublikował w gazetach, czasopiśmie i pracach zbiorowych 169 rozpraw, artykułów i recenzji związanych przeważnie z historią i kulturą Kaszubów. Główne kierunki jego zainteresowań, to zasoby archiwów lokalnych, w tym parafialnych, zawierające dokumenty do dziejów Kaszubów i Słowińców, miast i parafii pomorskich; materiały do genezy szlaków komunikacyjnych Pomorza Nadwiślańskiego i Zachodniego, Warmii, Mazur, Powiśla i Ziemi Chełmińskiej w XVI—XVIII w., a także województwa mazowieckiego w tym okresie; historii Kościoła pomorskiego od wczesnego średniowiecza oraz dziejów i współczesności Polonii kaszubskiej w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie i Europie zachodniej. Zajmuje się też biografistyką wybitnych Kaszubów, jak np. ks. bpa Pawła Rhodego w Stanach Zjednoczonych (Kaszuba Paweł Piotr Rhode — biskup i działacz polonijny w Stanach Zjednoczonych 1870—1945, „Studia Polonijne” 1984, t.8), organizatora życia kaszubskiego w Kanadzie Pawła Brzeskiego (Działacz kaszubskiej Polonii, „Pomerania” 1988, nr 2), ks. dra

Bernarda Sychty (Syn Ziemi Pomorskiej, „Literatura Ludowa” 1989, nr 4-6) i Guentera Grassa (Guenter Grass i kaszubski krąg kulturowy Gdańska-Matarni, „Tytuł” 1991, nr 4), którego rodzina z dziada pradziada zamieszkuje okolice Matarni.

Rozprawy, artykuły i recenzje publikuje w wielu renomowanych czasopiśmie krajowych i zagranicznych, m.in. w „Zapiskach Historycznych”, „Roczniku Koszalińskim”, „Studiach Polonijnych”, „Rocznikach Humanistycznych”, „Przeglądzie Polonijnym”, „Roczniku Gdańskim”, „Studiach Gdańskich” i „Studiach Pelplińskich”. Jego pierwsze publikacje ukazały się w „Kaszebach” i „Tygodniku Morskim”. Stale jest obecny na łamach „Pomeranii”.

Ks. Władysław Szulist posiada precyzyjny warsztat badawczy. Pracuje głównie na źródłach aktowych, nie gardzi jednak źródłami subiektywnymi, jak prasa i relacje, do których słusznie podchodzi z nieufnością. Może zbyt surowo przestrzega języka nauki, posługując się w swoich pracach głównie rzeczownikami, dzięki czemu są one zwięzłe, przejrzyste, ale ich stylizacja odzwierciedla jakby ascetyczne życie autora. Lęk przed nadużyciem przymiotników sprawia, że nawet jego artykuły popularyzatorskie i wspomnieniowe pozbawione są potrzebnego niekiedy polotu, chociażby publicystycznego. Surowa dyscyplina i rozbudowana aparatura badawcza na wzór dawnej pruskiej szkoły historycznej być może jest powodem tego, że publikując ważne rozprawy i przyczynki, a także zarysy monograficzne, ks. Szulist — takie odnoszę wrażenie — obawia się przedwczesnego syntetyzowania swoich dociekliwych badań w większe całości i w konsekwencji opracowania monografii np. szlaków komunikacyjnych na Pomorzu w wyznaczonym badaniach czasie, dziejów Polonii kaszubskiej, czy zarysu historii Kościoła pomorskiego (kaszubskiego) od średniowiecza po współczesność.

Jako historyk wie, że żadnego fragmentu historii nie można opracować wyczerpująco, ostatecznie, wszak historię pisze się wciąż od nowa w miarę odkrywania nowych źródeł, bądź potrzeby nowej ich interpretacji. Jest wobec siebie bardzo wymagający — to dobrze i zbyt krytyczny — to źle. Miejmy nadzieję, że proboszcz z Matarni poradzi sobie z tym ostatnim dylematem. Znając warsztat naukowy ks. Szulista i jego osobowość, można oczekiwać rychłego zsumowania dorobku badawczego w większych monografiach.

Wierny Pomorzu, a zwłaszcza Kaszubom, ks. Szulist w pracy historyka penetruje przede wszystkim obszary nie zbadane, bądź rewiduje dotychczasowe ustalenia podawane przez zawodowych historyków wtórnie, bez weryfikowania faktów źródłowych. Jest badaczem nieufnym, sprawdzającym każdy fakt w źródłach, które konfrontuje z literaturą i po przemyśleniu przedstawia swój wykład. W ten sposób stanął w szeregach tych kapłanów, którzy stworzyli — jako historycy — piękną tradycję na Pomorzu, łącząc pracę duszpasterską z badaniem historii pomorskiej, że wspomnę tylko księży Stanisława Kujota, Tadeusza Glemmę, Pawła Czaplewskiego, Władysława Łęgę, a ze współczesnych zasłużonego Antoniego Liedtke oraz najmłodszych historyków — Jana Walkusza i Jana Perszona.

Dorobek naukowy ks. Szulista jest znacznie większy niż niejednego historyka zawodowego. Wpisany trwale w historiografię polską, odnotowany we wszystkich ważniejszych bibliografiach. Jest on szczególnie ważny poznawczo dla Kaszubów, którzy są mu wdzięczni za trud badawczy. Skra Ormuzdowa jest tylko skromnym wyrazem tej wdzięczności.

Mieszkać na pustkach, to mieszkać na odludziu. Za wsią. Gdy Izabella Trojanowska wydała zbiór reportaży poświęconych kaszubskim twórcom ludowym, zatytułowała go „Na pustkach”.

Na pustkach Troki, za wioską Wąglikowice, mieszkał bohater tytułowego reportażu — Apolinary Pastwa. Rzeźbiarz z bożego daru i z własnej, wewnętrznej potrzeby.

Po latach, gdy już nie żyje Apolinary Pastwa, gdy nie ma Lecha Bądkowskiego, nie ma Franka Fenikowskiego towarzyszących Izabelli w wędrówce, powtarzam tę wyprawę. Nie przechodzę jednak przez strumień i podmokłe łąki, nie mijam Jeziora Miałego. Nie podchodzę także na wysoki brzeg jeziora Kramsko, a są tam dwa jeziora o tej nazwie. Jedno — Duże, drugie — Małe Kramsko. Apolinary Pastwa mieszkał na wybudowaniu, kilometr za jeziorem Duże Kramsko.

To wszystko wiem z reportażu, a nie z własnego zmęczenia. Powtarzałem tę wyprawę patrząc na mapę. Ale nawet na tej mapie, bardzo dokładnej, sztabowej, jak się mówi, nawet na tej mapie nie ma znaczka symbolizującego chałupę rzeźbiarza. Gdyby nie tamto utrudzenie Lecha i Franka, gdyby nie reportaż Izabelli, nie wiedziałbym, gdzie tak naprawdę mieszkał Apolinary Pastwa. Mówiłbym, jak inni, że w Wąglikowicach. A tak naprawdę mieszkał przecież na kaszubskich pustkach. W Trokach.

Szczegóły są bardzo ważne, one wiele rozjaśniają. Nie można pomijać szczegółów, gdy myśli się i pisze o artystach. O każdym z artystów, nie tylko o rzeźbiarzach.

Tam, na tym wybudowaniu, na tych odległych od innych chat i ludzi pustkach, Apolinary Pastwa stał się rzeźbiarzem. Było to pod koniec wojny, tej ostatniej. Napisałbym, że „był już w sile wieku”, gdyby nie to, że rzeźbiarz urodzony pół roku przed końcem minionego stulecia był drobnej postury, a powołany na wojnę 1920 roku powrócił do domu jako inwalida.

Napisałem: stał się rzeźbiarzem. Zapewne był nim już wcześniej. Jeszcze w Górkach, gdzie się urodził, i w Wielu, gdzie mieszkał, a zapewne i w Odrach, gdzie wraz z pierwszą żoną mieli mały sklepik. Był zapewne rzeźbiarzem już wtedy, ale rzeźbiarzem nieodkrytym. Nie tylko przez historyków sztuki czy



Fot. R. Petrajtis



Fot. R. Petrajtis

etnografów, ale nieodkrytym przez siebie. Pomimo iż jako chłopak strugał i wycinał ptaszki i zabawki.

Co trzeba przeżyć, aby odkryć w sobie rzeźbiarza? Pielgrzymkę w Wielu, te wszystkie stacje z Chrystusem, a może odpusty pielgrzymkom towarzyszące? A może trzeba siebie widzieć w ciągłym pielgrzymowaniu, w utrudnieniu pracy; czy koniecznie trzeba było jeszcze i tego, aby poznawać siebie w bólu i w chorobie? Potrzebne są także wiara i nadzieja, skoro pierwszą dużą rzeźbą było „Serce Jezusa”. A może i bieda jest potrzebna i właśnie te pustki?

Wyobraźmy sobie, że Pastwa — słabego co prawda zdrowia, ale kołodziej z zawodu, mieszka w mieście. Czy odkryłby i tam w sobie rzeźbiarza, a po nim odkryliby w nim rzeźbiarza i inni? Wyobraźmy to sobie, jeżeli zdołamy. Tyłu było cieśli w miastach, tyłu kołodziej i stolarzy, a rzeźbiarzy ilu? Sądzę, że w mieście nie mielibyśmy Pastwy — rzeźbiarza.

Nie byłoby figurek Chrystusa Frasobliwego, Chrystusa Zmartwychwstałego, nie byłoby krucyfiksów, Matek Boskich Różańcowych i tych wielu, wielu innych wycinanych nożem, obrabianych dłutkiem, a później polichromowanych. Nie byłoby jednej z najważniejszych postaci kaszubskiej sztuki ludowej — wspaniałego, samorodnego rzeźbiarza Apolinarego Pastwy. Rzeźbiarza, dla którego — jak to cytowała Krystyna Szalaśna — „rzeźba musiała być całkiem wyrobiona, a więc z przodu i tyłu na wzór człowieka”. Tak określał swoją powinność sam rzeźbiarz. Nic to, że nie kształcił się w anatomii; talent wyznaczał formę postaci, wagę szczegółu i niezależność perspektywy. To nie akademia i nie korekty przymuszały Pastwę do tego „aby rzeźba była całkiem wyrobiona”. O tym decydowały talent i praca oraz wewnętrzna pewność wypowiedzi.

Dzisiaj, gdy Apolinary Pastwa już nie żyje, gdy prace zmarłego w 1985 roku rzeźbiarza oglądamy w muzeach jestem pewien, że wystarczy zobaczyć jedną, aby rozpoznać wszystkie. Czy to będzie w muzeach Gdańska, Kartuz i Torunia czy w kolekcjach prywatnych. Takie były i są siła talentu i niepodległość widzenia artysty z pustek.

Apolinary Pastwa rzeźbił ból i frasunek, radość i nadzieję. To było wyzwaniem dla tego rzeźbiarza z bożego daru, a nie wierność anatomii.

Leon Reszka



Fot. W. Staniak

Z bożego daru



Fot. R. Petrajtis

Biôta że dodom lëdzë. Dzesz wa tu klëczita na kolanach w nëch brzôskach. To je tokô wielgô dôka, a wa z tëmë swojimë swiëczkamë chodzyta tak jak slepi po tym szarim swieccë. Jô wiëm, wa bë chca jidz do nieba, ale to je wszëtko prózné, cëz wa bë të robila. Të tëz nie je tak letko, të sã sami wieldzi panowie, a Gusta oni mają zaprëgle w wozik a mu lejã batugamë to le tak gwiżdze w kól uszi. Ale jak to gwiżdze, żebe wa wiedza. Wszëdze sedzã sówë a na komuda, je jesz o wiele barzi przejmujãcô.

Tak to je, jak chto sedze za dlugo doma. Cëz on të môlezë robic, sedzec pod piëckã a mowie rôzanc. Ten rôzanc je drzewiany a nierôz môlezë wëpadnãc z rëczë. Te to nie je dobri znak, ale le blôs na ten jistny dzeń, drëdziego dnia on ju ni môle te moce.

Gust nierôz zakuknie przez okno a jak widzy nas

Jan Drzeżdżon

Ma z Gustę (4) Na Glinicy

sedzãcëch kól piëcka, to so përzynë usmieje a jidzë dali na lãkë, dze so pasë jego biôle gësë. Gust ze swojã biôlã krôgã sedzy kól nich w trôwie a më wiëmë, że on tam je i on temu, że tak zakuknal przez okno, wië dob-rze dze më jesmë.

Nëze, Guscë, zaspiëwiu nôm co abo zatańcu na lãcë. Zatańcu, Gusce, na lãcë. Twojë gësë ce tak zarë nie ulecã, nëze môlezëz të négo szibra abo reilendra. Të doch, Guscë, môlezëz. Më polożimë nasz rôzanc a mdze-

më zdrzelë przez okno, tu stãd je baro dalek widzec.

Baro dalek widzec.

Lëdzë w Dãbrowi wiedzã, dze mają swoje lãczy i czedë mają zdrzec przez okno. Gust je nierôz baro zameszlony a ledzë w Dãbrowie nôle niego zdrzã a nic nie gôdajã. Widzisz të, Guscë, jak to na tim swice je, të môlezëz nówëzi zagrãc na brëmzi abo so jic na sônczi.

Niedowierzanie, smutek, ból — to najzwyklejsze słowa, które wyrażają to co czujemy, gdy „dopada” nas wiadomość o śmierci kogoś z kręgu bliskich. Redakcja „Pomeranii” od wielu lat pozostawała w bliskich związkach z Janem Drzeżdżonem.

Przez ostatnie lata jego twórczość stale była obecna na łamach naszego pisma. Opublikowaliśmy w odcinkach pełną metaforycznych znaczeń opowieść pt. „Biôli kôlp”, a od paru miesięcy kontynuujemy druk opowiadań „Ma z Gustę”. Właśnie te kaszubskie utwory przywracające prawa snom, dzieciństwu, poznaniu intuicyjnemu i pierwiastkowi magicznemu budziły szczególnie rezonans w społeczności kaszubskiej. Miał tutaj, a także w środowisku pisarzy warszawskich szczerych przyjaciół.

Niestety, przedwczesna śmierć, która nastąpiła 22 sierpnia bieżącego roku, wtrąciła w milczenie Jana Drzeżdżona. Będzie on jednak nadal przemawiał do czytelnika bogactwem swej wyobraźni i oryginalnością pomysłów twórczych.

26 sierpnia uczestniczyliśmy w kondukcje żałobnym, odprowadzającym Jana Drzeżdżona na miejsce wiecznego spoczynku. Na uroczystość pogrzebową, poprzedzoną mszą św. w kościółku w Mechowej, przybyło liczne grono przyjaciół, znajomych, kolegów po piórze, przedstawicieli gdańskiego środowiska twórczego i uniwersyteckiego, członków Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. Środowisko warszawskie reprezentowali: redaktor naczelny „Twórczości”, Jerzy Lisowski, poeta Leszek Bugajski i krytyk literacki Henryk Bereza, który wysoko cenił twórczość Zmarłego, uznając ją za zjawisko na wskroś nowatorskie.

Funeralne homilie ks. prałata Franciszka Gruczy i ks. Władysława Szulista były rodzajem holdu złożonego twórcy. Prezes ZK-P, Józef Borzyszkowski żegnając Jana Drzeżdżona podkreślił, że wpis do księgi kulturowej Kaszub i Pomorza, którego dokonał pisarz rodem z Domatowa, będzie miał znaczenie ponadczasowe. Na cmentarzu w serdecznych słowach pożegnał Zmarłego miejscowy proboszcz ks. Zygmunt Trella. Roman Skwiercz w pięknej beloczyćnie przypomniał nad trumną okrytą stanicowym gryfem przejmujący wiersz poety zaczynający się od słów: Przëszlë do mie... Zanim żałobne zgromadzenie zaczęło opuszczać cmentarz, chór głosów zaintonował „Kaszëbsko Królówo”. Jeszcze raz pochylili się nad trumną zrzeszeniowe stanice.

Zespół „Pomeranii”



Lédze chodzą w kółce z zegrami na puklach a maklają w taszi, cęž tē tē mōsz. A cę tē mōsz miec Guscę w taszi, mōže jaczi stōri zdrédzewiali gōsc. tē nie wiész co z nim zrobic, cze wērżec, cze dac komu jak jidz na pole. Tim gozdę mogą so lédzē klepac w plug a te go polożec na miedze. Widzisz, Gustku, kol nas je wiedno jeseni. Mē mōžemē gadac tak abo tak, to le padō a te ta komuda, a twoja brēmza je ju stōrō, mē musimē ce kupic jaką jiną, mōže szpěl nową z krōmu abo dze od kogo odkupic.

Czedész Gust przēsęd do nas dodom a otemk so sōm szpinie. Tę bēlē borōwczę. On wetk lep bēnē i lizōl nē borōwczę. Lénka cęža jaczész stękanie w kuchni. Gust sedzōl w borōwkach. Mēgo muszēlē mocą wēpchnac rut z dodomu. Lenka jēs mu rzekla — tę biō dodom, Gusce, twoja Mariczka mō dēcht taczē borōwczę jak mē, jak tē so nie sromōsz tak wéndz do lédzy a lep wetknac w grōnk z borōwkamē. Mē go muszēlē umēc a te oplōkac. Lénka wēžę jego koszłę a buksę, a ma z Téfilę go wēkapa w Glinicy. Te on pōrzkōl a gōdōl — to mie dēcht lubi, że wa tak wiéta co jō brēkuje, a te jesz ta woda w Glinicy mō taczī dobri zōpach.

W Glinicy bēlē żabē a Gust je odgarinōl obiema rękamē, a gōdōl — co tu je żōb, jaż niepodobno.

To je dobrō woda — mē so przēswiōdczałē — w Biela-wiē tēli żōb ni ma, tę je woda barzi torfowō. A te jedna żaba wskokla Gustowi prosto na krzept a on werwōl z Glinicy, a mē go ni moglē uchwacec.

A cęž tē, Guscę, robisz — jō za nim wrzeszczōl. Całō Glinica bēla potręptōnō, a mē mielē ful uszē glēnē. Żabē sedzēlē wēstraszōnē i so nóm przēzeralē. Jesz tacziego kąpieni w Glinicy nie bēlo. Zresztą woda zala całą budę Szornōka, dobrze, że to nie bēlē mēdlenē, mē mēlē Gusta blōs nā glēnā, tak tēž woda co so rozla bēla barzi glēniasto. Bialczie mielē ju jego ruchna weprōnē i sēsżēlē jē na liniē. Woda od prani bēla całō czerwionō, tak Gust so wopchōl nēmē borōwkamē.

A te nóm so zdōwa, że z Glinicy cos wēlazło. Mōže to bēl le szur, ale mōg to bēc tēž prorok. Nē bialczie stojelē w kół a zdrzelē jak na woda szēmi, bēla całō biōlō.

Nōprzōd mē zamoczēlē głowē w nim szēmie a te bialczie. Jedna z nich, Dōra, ni mogla swoji głowē wēcēgnac i wszētēc jiny muszēlē jē cēgnac do wsladē.

Na ostatku Bialk rzek, żebē Dōrę puscec, bo mōžemē ji letko głowē urwac, a to bē bēla za wielgō szkoda.

Mōže mē ju mōmē ji co naderwōnē — gōdō Téfil. — Zdrzēta le dobrze abo gaduta do niē, niech ona cos rzecžē. Jak le mdze blōs muniamē rēsza, te to znaczi, że mō cos powažnēgo naderwōnē, a jak mdze gōda richtich, te mōžemē cēgnac jesz pērznę.

Mē gōdalē Dōrżē, że w ji kominie sedzy huleszpēgiel a so glosno smiejē.

A Dōra rzekla — widza wa go tēž, bēl to on na gwēs.

Ale mē bē go poznalē wszēdżē — gōdajā ni lédzē a so ceszā, że Dōra tak mądrze gōdō i że oni mogā spokojno dali cēgnac. Na ostatku Dōrę wēcignēlē, le jeden czitel ji bēl podzarti. Blōs jeden czitel — gōdōl Mroch — to nie je wiele. Dōra muszēla so zeblēc i oni jē maklale cze ni mō nic pēklēgo. Ona tak munię kruzowa, a jak Téfil omaklōl ji nodzie, te ona zacžē krzicac.

Nē taczē Dōrzeszczē, jak to zare krzicžē, ko pewno, że Téfil rōd jē maklōl, ale to doch nie bēlo nic taczēgo. Na ostatku mē wzēlē Dōrę razę z Gustę a te oplōknēlē w Glinicy, a oni oboje zdrzelē na se, a potemu na nē żabē co sedzēlē czēsto sztēl w sycenie. Oni oboje wēzdrzele

dēcht fejn, tē jich zdziētē puklē a usmiōnē oezē.

Gust dēcht nic nie gōdōl, czasē blōs Dōra cos przērzekla do bialk, żebē tak wiele ję glēnā nie szerowac, bo ji skōra aż zdrugō.

Gustowi nie zdruco — gōdale nē bialczy — on stoi czēsto sztēl a slēcho.

A cęž on mō robic — rzek Mroch — jak wa go nie chceta z te Glinicy wēpuszczec, ko te on muszi tam stojec.

A te mē slechomē jakbē w Glinicy cos mrēcza.

Chto wiē co tę je — gōdō Stach Putrekuc. — Cęž to tę tak mrēczi.

Tōna wżā balikę i mē wsadzēlē Dōrę z Gustę w balikę a puszcēlē na wodę, żebē so dobrze przeslēchalē cęž to tę mrēczi.

Chtrēnē bialczie gōdalē — a cęž wa ludkowie robita. Ko oni doch są nadzi, a na wodze je zēmno, niech to ję Glinca, ale wiedno je pērznę wiatrē.

Oni so mogā w ti balicē zatancowac — gōdale ni drēdzi — te jima mdze cepli. Żebē oni le blōs nie wēpadlē, bo chto wiē, co to tę mrēczi, to temu ni ma nic do wiarē.

Jak Dōra z Gustę bēlē ju na westrzōd Glinicy, to oni zacžēlē wolac, że to je prorok, on coś prorokuje o Dąbrowie.

Ni lédze zacžēlē wolac, żebē Gust z Dōrą to spamiētalē, bo oni tu nie czējā.

Mē tēž nie czējemē — wola Dōra — to je le blōs mrēczenie.

Dzywni prorok, dzewowalē so lédzē w Dąbrowie, jakusz to je możlēwe, żebē taczī prorok blōs mrēcžōl.

Na ostatku oni rzeklē, żebē tego proroka z Glinicē wēnēkac. Nōprzōd oni zacžēlē go straszec, a te wērapiac, a na ostatku so do niego obrocēlē rzecā.

Prorok ostōl w Glinicy choc lédze z Dąbrowē długo stojalē do niego okrācony rzecā. Gust z Dōrą ju bēlē z drēdzie strōnē a szlē dodom rozpowiōdajacē. Chtosz jima podōl sztēk kodrē, żebē so moglē owinac, bo jich ruchna so seszēle na liniē.

Tē dobrze wiedzōl, Gustku, co nen prorok w Glinicy wama gōdōl. Jak wa szla z Dōrą dodom tē tē na nas zdrzōl a so le usmiōl. Jō mēsžę, że on sōm ten prorok so w nocē plēnie na Glinicy w balicē. Te on wszētko wiē. Tu stād je dobrze Dąbrowę widzec a lédzy, jak oni jidā drogā.

Czemu wa so nie zascygnę oboje?

Czemu wa tak szla podsmiēwajacē? Od tego czasu mē widzēlē, jak Gust z Dōrą szlē wiedno o wieczōr do Glinicy. Rōz ma z Lénką szla za nimē i stojā niedalē, jak oni oboje wlēzalē w wodę i dludzi czas trzimalē rēcē w ni wodzē. Cęž oni tę robijā — gōdō Lénka — mōže oni so z czym witajā. Mōže, jō so mēsžę, abo nen prorok je na leńcuchu i oni go wiedno wieczōr spuszczejā. Je to możlēwē, żebē on muszēl żdac, jaż oni go spuszcżā — jō rzek. — Te to bē znaczo, że chtosz pōrnē go jidzē urzeszec. Pewno jo, mōže Gust, on tam mō swōj las, tak w rzeczi jidzē w las, a richtich te on jidzē proroka urzeszec.

Jo, Gustku, chto rōz bēl w Glinicy wēkapony, ten ju muszi wiedno tę przindz nazōd. Chto rōz bēl w Glinicy wēkapony, ten nie potrafi jinaczi žec jak wkōl te wodē. A prorok to je mōže jacziś zmēsžleniē abo chtosz, chto le blōs chce z tobā gadac. Mōže jich je nawet wicy, skādkāž tē wiész, że to le je blōs jeden.

Tak, Gustku, jak wa z Dōrą sedza w ni balicē, tē jō sedzōl w sycenie a rēcžōl. Tē nie wiész czemu i nigdzie nie mdzesz wiedzōl. Dōra jakbē mie widza, ale bēla tak dalek, że ona ni mogla wiedzec co jō tę robiōl.

cdn.

MIŁOSIERNI BRACIA z Psiego Zakątka

Szukanie Psiego Zakątka (niem. Hundewinkel) na współczesnych planach Gdańska jest zupełnie bezcelowe. Miejsce, o którym tu mowa, podzieliło los wielu innych, jakże niegdyś malowniczych skrawków dawnego podgrodzia, znikając z powierzchni ziemi bez śladu. Na upartego można by określić w przybliżeniu jego lokalizację. Cóż jednak z tego, skoro tam, gdzie w wieku XVII biegł ruchliwy trakt wiodący od Starych Szkotów (obecnie Orunia) ku Bramie Nizinnej, dziś ujrzeć można jedynie rozległe torowisko kolejowe Gdańsk-Południe. Właśnie w tym, nieciekawym miejscu, w którym ku utrapieniu mieszkańców pobliskiego Zaroślaka przetaczane są z wielkim hałasem składy pociągów towarowych, ciągnęła się niegdyś gęsto z obu stron zabudowana ulica Motławska, z pamiętającą czasy średniowiecza karczmą o osobliwej nazwie „Nobis”. Stąd zaś było już bardzo bliskiego do Psiego Zakątka.

Miejsce to, podobnie jak całe Stare Szkoty, należało w wieku XVII do biskupów kujawskich. Bronili oni — co jest rzeczą zupełnie zrozumiałą — interesów katolików gdańskich, wówczas gdy miasto całkowicie zdominowane zostało przez luteranów. Nie przychodziło im to zresztą wcale łatwo. Od czasów reformacji — ta zaś bardzo wcześnie znalazła sobie w Gdańsku podatny grunt — prowadzona przez władze miejskie polityka była zdecydowanie korzystniejsza dla protestantów i kalwinów. U progu przeto siedemnastego stulecia szczególnie obawiano się w Gdańsku przeciwników reformacji, w tym przede wszystkim jezuitów. Mimo wieloletnich starań członków Towarzystwa Jezusowego oraz rozmaitych zabiegów a nawet forteli, od których nie stronili członkowie tego zgromadzenia, byle tylko osiągnąć swój cel, to jest osiedlić się w obrębie murów miejskich, władze Gdańska okazały się nieprzejednane i nigdy ostatecznie nie wyraziły na to zgody. Gdyby nie pomoc ze strony biskupa Hieronima Rozrażewskiego, który w swojej hojności ofiarował im sporą parcelę właśnie na Starych Szkotach, zapewne w ogóle nie powstałby jezuicki kompleks kościelno-klasztorny ze słynnym kolegium.

O ile zrozumiałe mogą się wydać obawy gdańskich luteranów przed jezuitami i ich zdecydowanie antyreformacyjną postawą, o tyle trudno zrozumieć niechęć władz miejskich w stosunku do bonifratrów. Owi bracia miłosierdzia przybyli do Gdańska z czysto charytatywnych pobudek. Zgodnie z regułą swojego zakonu pragnęli zorganizować w mieście szpital, by otoczyć w nim opieką medyczną wszystkich chorych, i to bez względu na wyznanie i majątność.

Założycielem tego zgromadzenia był Hiszpan Juan Ciudad (1495-1550) znany powszechnie jako Jan Boży, pierwszy zaś dom powstałej w roku 1540 wspólnoty zakonno-szpitalnej otworzył swe podwoje w dalekiej Grenadzie. Bogobojny zakon, który serdeczną troską otoczył ludzi chorych, kalekich i nędzarzy, zyskał sobie w chrześcijańskiej Europie dobrą sławę. Wieści o nim dotarły i nad Bałtyk. Szczególne zainteresowanie działalnością bonifratrów wykazał tu Jan Tesmer, wojewoda malborski a zarazem sekretarz królewski. Za wszelką

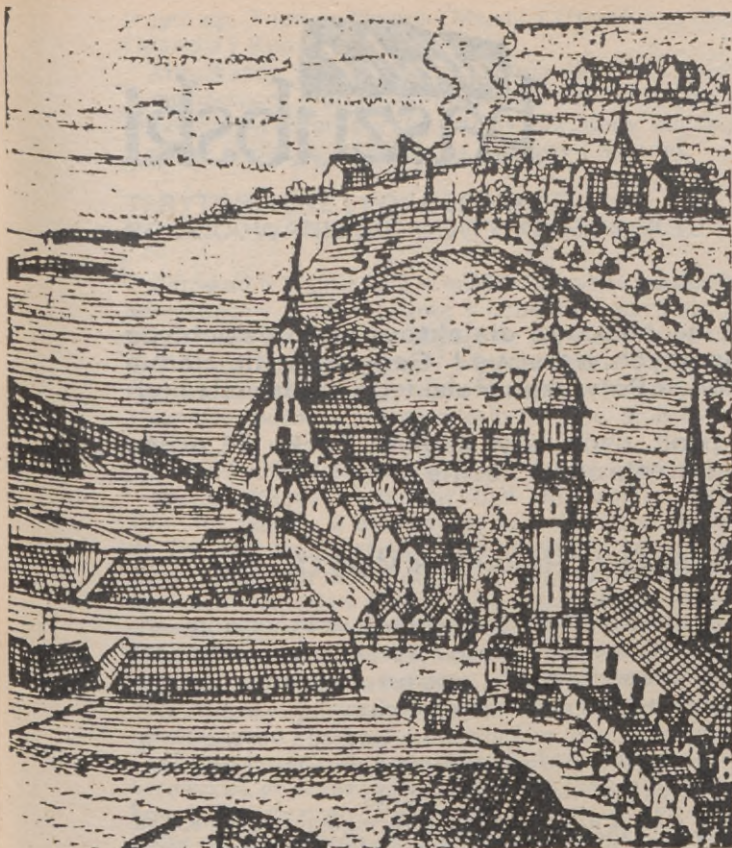
cenę pragnął, by bracia miłosierdzia założyli swój dom w Gdańsku. Ten zmarły w roku 1652 wielki czciciel Jana Bożego nie szczędził ze swej strony zabiegów oraz, co równie ważne, kiesy, by cel swój osiągnąć. Niestety, gdańskie władze również i tym razem zademonstrowały nieprzejednaną postawę, wobec czego nie pozostawało nic innego, jak odwołać się do biskupa kujawskiego w celu wyjednania u niego zgody na sprowadzenie braci. Chodziło oczywiście o kolejny skrawek ziemi na Starych Szkotach. Za radą ówczesnego biskupa Aleksandra, Jan Tesmer nabył tu od niejakiego Dirka von Hövena „per instrumentum donationis”, tzn. Psi Zakątek, ofiarując ten teren miłosiernym szpitalnikom, bezskutecznie dotąd kołaczącym do gdańskich bram. Już w roku 1646 ci zaczęli wznosić tu niewielką świątynię, zaś cztery lata później położyli kamień węgielny pod przyszły klasztor i szpital.

Świątynię zaprojektował ponoć znany gdański architekt Bartłomiej Ranisch. Niestety, dane jej było przetrwać zaledwie dziewięć lat. Nie przez wrogość do bonifratrów, lecz z nienawiści do tzw. partaczy szotlandzkich (skutecznie konkurujących ze zrzeszonymi w miejskich organizacjach cechowych i zazdrośnie strzegących swoich praw rzemieślnikami) gdańszczanie, znalazłszy się w obliczu ataku ze strony Szwedów, puscili w roku 1656 z dymem całe Stare Szkoty, w tym i Psi Zakątek.

Szczęśliwym trafem kilka lat wcześniej gościł tutaj pewien młody Włoch rodem z Rawenny, Giacomo Fantuzzi, który uwiecznił swoje wrażenia z podróży po Europie w obszernym diariuszu. Fantuzzi sławi w swoich zapiskach nie tylko hojność Jana Tesmera, ale i pana wojewody pomorskiego; zapewne Gerarda Denhoffa lub Ludwika Wejhera. Pierwszy umożliwił braciom otoczenie stałą opieką medyczną 25 chorych, drugi sprawił, iż mogli oni znacznie zwiększyć liczbę łóżek. „Widziałem tam — zanotował przybywszy z dalekiej Italii — także łóżko z czerwonego adamaszku, koronkami i złotymi frędzlami niedorzecznie (!) zdobione, a darowane przez pewnego Francuza, który tam umarł; na zasłonach jest ono ozdobione herbem fundatora, a służyć ma jedynie chorym z jego narodu pochodzącym”.

Dalej jednak Fantuzzi prawi, jaką to wielką korzyść i ulgę niosą litościwi bracia zarówno samym chorym, jak i religii katolickiej w ogóle. Dzieje się tak, jego zdaniem, dlatego, że zakonnicy leczą u siebie także „heretyków”, ci zaś widząc tyle „miłosierdzia, serca i nieustającej opieki, często przechodzą na katolicyzm”. Autor dodaje również, że „o ojcach tak dobre mniemanie heretycy ci mają, iż obdarowują ich szczerze jałmużnami, jak to też czynią wszystkie statki i marynarze zawijający do Gdańska, by zapewnić sobie miłosierne przyjęcie, które w przypadku choroby zawsze otrzymują”.

Zaiste niemała musiała być ta ofiarność względem bonifratrów, skoro już w roku 1671 zdolali podnieść ze zgłiszcz i ruin swój konwent, tuż u wrót miasta leżący, wraz ze świątynią. Drugi kościół (o którym także niewiele dziś wiadomo, poza tym, że podobnie jak poprzedni był on pod wezwaniem Św. Jana Chrzciciela) otrzymał



Fragment sztychu Meritza z 1734 roku. W prawym górnym rogu okolice Psiego Zakątka wraz z zabudowaniami bonifratrów.

solidniejsze mury i jeszcze piękniejszy wystrój. Zakonnicy, pomni niedawnej tragedii, pragnęli wprowadzić zrazu wyjednać u ojców miasta zgodę na osiedlenie się w obrębie murów, lecz i tym razem spotkał ich zawód. Nowej świątyni dane było przetrwać jedynie do czasu kolejnego z wielkich oblężeń Gdańska, czyli do roku 1734.

Cały kompleks kościelno-szpitalno-klasztorny, o którym pewne wyobrażenia dają nam dziś jedynie fragmenty sztychów Deischa i Meritza, praca Curickiego oraz szczęśliwie zachowane plany obleganego przez wojska rosyjsko-saskie Gdańska, w którym znalazł schronienie król Stanisław Leszczyński, otóż cały ów zespół budowli ponownie legł w zgliszczach. Ogień podkładali sami gdańszczanie, zapewne w obawie przed możliwością wykorzystania tych zabudowań przez nacierającego na miasto wroga, jako przyczółka.

Jak feniks z popiołów odrodził się szacunkiem darzony lazaret również i tym razem. Bonifratrzy odbudowywali go wraz z przyległym kościołem w latach 1741-44. Prowadzony przez skromnych zakonników szpital należał teraz do największych w całym Gdańsku wraz z jego przedmieściami. Cieszył się zaś zasłużenie dobrą opinią, zarówno katolików, jak i innowierców. Jakże wymowne są tu zapiski rodowitej gdańszczanki, wybitnej pisarki, Joanny Schopenhauer. W swoich „Jugendleben und Wanderbilder”, znanych w wersji polskiej jako „Gdańskie wspomnienia młodości”, matka Artura Schopenhauera darzy bonifratrów szczególną sympatią. Przypomina mianowicie atmosferę własnego domu rodzinnego (a był to dom zamożnych i światłych protestantów), jaka panowała w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia. Kiedy gospodarze zasiadali do obiadu, regularnie do drzwi ich kamienicy przy ulicy św. Ducha pukało co roku dwóch braci z Psiego Zakątka. Przynosili ze sobą ozdobną tacę ze srebra, na której ułożone były wypiekane w ich

klasztorze opłatki z wytłoczonym wizerunkiem Ukrzyżowanego. Częstowali też pana domu... ziołową tabaką własnej produkcji. Cała ta wielce osobliwa i wyciskająca każdorazowo młodej Joannie lzy z oczu ceremonia odbywała się w zupełnym milczeniu. Dzieci otrzymywały po opłatku, zakonnik z tacą pieniądze „na dobro ubogich”, po czym duchowni kłaniając się głęboko odchodzili ku drzwiom bez słowa, tak jak przyszli. Za szczególnie ważne uznała pisarka podkreślenie faktu, iż mnisi ci otaczali w swoim szpitalu wielką troską wszystkich ubogich chorych, nawet Żydów.

Minęło jednak ledwie nieco ponad 60 lat od pamiętnego oblężenia i znów cichy w czasach pokoju zaulek klasztorny znalazł się w opałach. Stroną nacierającą były tym razem wojska napoleońskie pod wodzą marszałka Lefebvre'a. Gdańszczanie znów nie oszczędzili własnych przedmieść. Ku rozpaczy ich mieszkańców spalili w marcu 1807 roku nie tylko klasztor i kościół reformatów wraz z całym Chelmem, ale także Stare Szkoty, w tym i klasztor miłosiernych braci. Wszystko, co było w rejonie 800 kroków od bram miasta, legło teraz w zgliszczach i gruzach. Niewiele pozostało z jakże wówczas potrzebnego szpitala i bonifraterskiego kościoła, w którym od początku jego istnienia słowo Boże głoszone w języku polskim. Zgorzało wszystko. Wbrew wcześniejszym obietnicom władz miejskich zakonnicy nie doczekali się najmniejszej rekompensaty za poniesione szkody. Nie zwrócono im również ich nieruchomości, w tym m.in. folwarków ofiarowanych jeszcze przez dobroczyńcę Tesmera.

Do trzech razy sztuka — powiada stare porzekadło. Nie odważyli się więc mnisi po raz czwarty ryzykować. Miasto, któremu ze swej strony dali tak wiele, obeszło się z nimi po macoszemu. Po trzykroć burzyło to, co z tak wielkim mozołem sobie wypracowali, a kiedy doszło do sekularyzacji dóbr zakonnych, Prusacy po prostu zakon ograbili. Bonifratrom nie pozostało nic innego, jak opuścić Gdańsk raz na zawsze i przenieść się do Warszawy. Tak też uczyniono.

Na próżno chełmiński biskup Sedlag słał jeszcze w roku 1850 petycje do kancelarii samego króla pruskiego, zabiegając o zwrócenie katolikom gdańskim przynajmniej części rozproszonego majątku na cele szpitalne. Niebawem nawet kartoflisko, na które z czasem zamieniono obszar Psiego Zakątka i dawnej ulicy Motławskiej, przestało istnieć. Wszystko przejęły koleje żelazne, wytwarzając wtedy właśnie trakt wodociąg ku pierwszemu gdańskiemu dworcowi w rejonie Bastionu św. Gertrudy i Bramy Nizinnej, później zaś także ku obecnemu. Musiało upłynąć jeszcze następnych czterdzieści lat, by katolicy gdańscy, z pomocą miejscowych hojnych donatorów, mogli znów otworzyć własny szpital z prawdziwego zdarzenia.

Powstał on na Dolnym Mieście, tuż przy ul. Łąkowej, na bazie dawnego dworu Uphagenów, ofiarowanego wprowadzić nie braciom, lecz siostram miłosierdzia (boremeuszkom) przez bogatego kupca Gotfryda Teodora Kuhna. Pierwsi chorzy znaleźli tu opiekę już w roku 1853. Szpital pw. Najświętszej Marii Panny, któremu pierwotną nazwę przywrócono dopiero niedawno, rozbudowywany był przez wiele lat. Mimo iż wiekowy, ciągle cieszy się zasłużenie dobrą sławą. Niewiele jednak gdańszczan gotowych jest kojarzyć jego rodowód z heroiczną i pełną poświęcenia działalnością bonifratrów, chociaż Franz Steffen, autor obszernej monografii tego szpitala, uważał go za najpiękniejszy pomnik wystawiony zupełnie dzisiaj zapomnianym braciom miłosierdzia, właśnie tym z Psiego Zakątka.

GMINA I MIASTO PUCK

Gmina i miasto Puck położone są całkowicie na obszarze dialektów kaszubskich, co pozwala zaliczyć je do grupy miejscowości tworzących warstwę I. Geograficznie ziemia pucka usytuowana jest na północy Kaszub, w pobliżu Półwyspu Helskiego, administracyjnie w województwie gdańskim.

W gminie Puck na ankietę odpowiedziało 39 proc. osób, a w samym Pucku 56 proc.; ogółem na ziemi puckiej odsetek zwrotów ankiet przekroczył normę.

CZY W MIEŚCIE I NA WSI WYSTĘPUJĄ ODMIENNE TRENDY?

Zarówno mieszkańcy wsi, jak i miasta w przeważającej liczbie identyfikują się jako Kaszubi. Gmina, ze względu na ogromną dominację liczebną Kaszubów — 93 proc., należy do gmin najbardziej kaszubskich. 89 proc. z nich spełnia również warunki obiektywne. W bardziej szczegółowym rozpoznaniu 88 proc. osób pochodzi z rodzin czysto kaszubskich, a tylko 5 proc. z niekaszubskich. Należy jeszcze dodać, że w zbiorowościach wiejskich nie ma takich osób, które nie znałyby w ogóle mowy kaszubskiej.

W mieście, chociaż 71 proc. mieszkańców deklaruje się jako Kaszubi a dalszych 10 proc. uważa się za pół-Kaszubów, sytuacja jest już bardziej złożona. Z jednej strony mamy do czynienia z tzw. etnicznością nabytą, z drugiej — procesem odchodzenia od kaszubskości. Autochtonizację czy etniczność „nabytą” dokumentują tu kaszubskie deklaracje osób, które nie mogą wykazać się rodowodem kaszubskim mimo częstego zjawiska przyswojenia sobie języka kaszubskiego. Wśród zdeklarowanych Kaszubów zarejestrowaliśmy np. 9 proc. osób pochodzenia niekaszubskiego; jeszcze wyraźniej występowało zjawisko utożsamiania się nie-Kaszubów z pół-Kaszubami. Na marginesie tych danych warto zanotować, iż 67 proc. mieszkańców Pucka wywodzi się z rodzin kaszubskich, 25 proc. z niekaszubskich, a pozostali z półkaszubskich.

Proces odchodzenia od kaszubskości widać na przykładzie osób nie spełniających warunku posługiwania się mową kaszubską oraz deklarujących się, mimo ewidentnej proveniencji kaszubskiej, raczej jako pół-Kaszubi niż Kaszubi. Biorąc pod uwagę te osoby oraz ich nieletnie dzieci okazuje się, iż warunki kryteriów syndromu spełnia tylko 57 proc. mieszkańców miasta, czyli około 1/3 mniej niż zbiorowość mieszkańców wsi.

Kategoria pół-Kaszubów w gminie niemal nie występuje; w mieście natomiast jest dość liczna, gdyż obejmuje od 10 do 8 proc. ludności. W mieście 40 proc. ankietowanych nie-Kaszubów deklarowało się jako „Polacy”, pozostali nie podali bliższej przynależności regionalnej. Sporadycznie występowały identyfikacje pomorskie. Zaskoczeniem dla badających były identyfikacje mazurskie w gminie i w mieście (ok. 1,5 proc.).

MIESZANY CHARAKTER MAŁŻEŃSTW

Mieszany charakter małżeństw może być interpretowany, w zależności od przyjętych założeń, jako „odchodzenie od kaszubskości” — mniejszy rygoryzm w zakresie respektowania norm dotyczących posługiwania się językiem etnicznym, pielęgnowania tradycji i obyczajów itp. — bądź jako możliwość „autochtonizacji” przybyszów z pozycji preferencji własnej grupy.

W mieście aż 27 proc. stanowią małżeństwa nie-Kaszubów z Kaszubami, a tylko 4 proc. między nie-Kaszubami. Przeważają małżeństwa czysto kaszubskie — 61 proc. — co jest zrozumiałe przy powyżej scharakteryzowanym składzie ludności. Niewielki procent stanowią małżeństwa Kaszubów z pół-Kaszubami.

PUCK I JEGO OTOCZENIE

W mieście w pokoleniu badanych 79 proc. urodziło się na Pomorzu (głównie w obszarze dialektów kaszubskich), w pokoleniu rodziców 69 proc.; na wsi 93 proc. w pokoleniu rodziców i 95 proc. w pokoleniu badanych.

Nieliczni przybysze rekrutowali się z 13 województw z różnych części Polski. Nieco częściej reprezentowane są województwa: kaliskie, zielonogórskie, lubelskie, bielsko-podlaskie, łomżyńskie i częstochowskie. Są także nieliczne przypadki urodzeń za granicą: Niemcy — ok. 2 proc. i b. ZSRR — ok. 0,5 proc. Wobec znacznej przewagi zasiedziałości, migracja nie odegrała większej roli jako czynnik kształtujący skład ludności ziemi puckiej.

W Pucku 50 proc. stanowią mieszkańcy zasiedzali tu co najmniej od dwóch pokoleń, dalszych 12 proc. przybyło do miasta z macierzystej gminy. Wśród emigrantów z pobliskich gmin najczęściej występują wejherowianie; z innych terenów trochę wyraźniej reprezentowana jest ziemia kartuska. Zarejestrowaliśmy także wypadki pochodzenia z Gdyni. Wśród przybyszów z innych regionów (18 proc.) zaznaczyli się nieco liczniej Ślązacy z bytomskiego oraz migranci z częstochowskiego. O ile obecne pokolenie w przeważającej większości legitymuje się zasiedziałością miejską, to pokolenie rodziców pochodzeniem z terenów obecnej gminy, z takich miejscowości, jak: Polczyno, Osłonino, Mieroszyno, Gniezdzewo, Darżlubie i inne, oraz wydatnie z kilku pobliskich gmin: Wejherowa, Kartuz, Krokowej, Luzina, a także z samej Gdyni oraz sporadycznie jeszcze z sześciu gmin,

w tym np. Tucholi, Nowego Miasta Lubawskiego oraz Gdańska i Rumi.

Mieszkańcy gminy Puck rekrutują się w 88 proc. z macierzystej gminy. W pokoleniu rodziców, obok mieszkańców ziemi puckiej, mamy przykłady migracji z gminy Krokowa, Wejherowo, Kartuzy i Szemud.

TERYTORYALNE I POKOLENIOWE RÓŻNICOWANIE SIĘ MOWY KASZUBSKIEJ

Zarówno w gminie jak i w mieście ogromna większość mieszkańców rozumie mowę kaszubską i użytkuje ją w praktyce. W gminie posługuje się nią na co dzień lub często aż 92 proc. osób. W samym Pucku dominację mowy kaszubskiej lub co najmniej jej równouprawnienie z językiem polskim zadeklarowało 50 proc. ankietowanych.

Niewielu mieszkańców użytkuje wyłącznie język polski — na wsiach 8 proc., w mieście 30. W gminie nie ma osób, które nie znałyby w ogóle mowy kaszubskiej, w mieście do jej całkowitej nieznajomości przyznało się jedynie 7 proc. Pozostali należą do rzadkich jej użytkowników, ale wciąż pozostają w kręgu języka kaszubskiego. Zdecydowana większość mieszkańców ziemi puckiej zadeklarowała także znajomość czytania (84 proc. i 67 proc.) i pisania po kaszubsku (68 proc. i 40 proc.). Odnosi się to zwłaszcza do mieszkańców wsi, gdzie te umiejętności są częste.

Ziemia puckska, obok kartuskiej, kościerskiej i wejherowskiej, uważana jest za jeden z dominujących ośrodków kaszubszczyzny. Przedstawione dane są porównywalne do kartuskiego. W obu bowiem ośrodkach mowa w pokoleniu dorosłych zachowuje swą żywotność i utrzymuje się nie tylko jako czynnik pielęgnowania tradycji, ale również jako element praktyki w życiu zbiorowości, także w mieście.

Ważnym wskaźnikiem integralności grupy jest socjalizacja w zakresie języka kaszubskiego, uważanego przez niektórych badaczy za czynnik decydujący o etniczności i jej wyróżnik. Na wsiach puckich aż 68 proc. rodzin (a więc w ponad 2/3) dzieci mówią nadal po kaszubsku, w mieście odsetek ten znacznie się obniża, ale i tak obejmuje dzieci z połowy ankietowanych rodzin.

Niewątpliwie jednak procent użytkowników mowy kaszubskiej w pokoleniu dzieci zmniejsza się w porównaniu do pokolenia rodziców. Jest to zresztą proces występujący jako tendencja w całej zbiorowości kaszubskiej. Na ziemi puckiej utrzymywanie się języka etnicznego, jako stylu życia grupowego, jest i tak stosunkowo wysokie w porównaniu do wielu innych gmin i miast. W gminie Puck nie ma rodzin, w których dzieci nie znałyby języka kaszubskiego w ogóle, w mieście taka kategoria wśród młodzieży występuje, obejmując ok. 1/4 osób.

PUCK W CIENIU INNYCH STOLIC KASZUBSKICH

W przypadku grupy etnicznej o statusie autochtonicznym konsensus jej członków w sprawie stolicy można uznać za ważny objaw ponadlokalnej więzi i świadomości. Kaszubi w obszarze dialektów kaszubskich wymieniali najczęściej cztery miasta, jako potencjalną stolicę regionu: Kartuzy, Kościerzynę, Puck i Wejherowo. W opinii ogółu Kaszubów (o czym jeszcze będzie mowa w osobnym opracowaniu) problem ten rozstrzygany był zdecydowanie na korzyść Kartuz.

W opinii mieszkańców ziemi kartuskiej stolicą Kaszub są bezspornie Kartuzy (zob. „Pomerania” nr 6, 1991; „Werwas” nr 91, 1992). Pierwszeństwo Kartuzom przyznają nawet mieszkańcy Kościerzyny („Pomerania” nr 10, 1991).

2/3 mieszkańców ziemi puckiej zapytanych, czy Kaszubi posiadają swoją stolicę, odpowiedziało twierdząco (16 proc. jest odmiennego zdania, pozostali nie mają na ten temat wyrobionej opinii), wskazując jednocześnie Kartuzy (na wsi 44 proc. i w mieście 45 proc.). Na drugim miejscu wymieniano Kościerzynę (11 proc.), następnie Wejherowo i Puck (jedynie 5 proc. mieszkańców ziemi puckiej opowiedziało się za Puckiem).

Ogólnie można stwierdzić, że większość mieszkańców ziemi puckiej dostrzega ponadlokalny charakter grupy etnicznej i ma świadomość integracji terytorialnej oraz istnienia stolicy i ośrodków skupiających Kaszubów. Puck, według nich, do roli tej jednak aspirować nie może.

BADANI O LUDNOŚCI KASZUBSKIEJ

61 proc. w gminie i 64 proc. w mieście wypowiedziało się na tematy i problemy zawarte w ankiecie.

Wypowiedzi mieszkańców gminy Puck:

„Mowa kaszubska jest dla nas dobrym językiem domowym, ponieważ się dobrze rozmawia, ale gdy jedziemy do miasta, to my mamy trudności z wymową, ponieważ nam się język płacze; czy nawet w pisaniu”. (K, Nr 117, M, ok. 30-35 l, wyksz. SZS).

„Moim zdaniem Kaszubi nie dążą do tego, by utrzymywać wszystkie obyczaje i gwarę kaszubską. Przewaga dzieci rozmawia tylko wyłącznie polskim językiem, a wyjątki po kaszubsku. Obyczaje w naszej wiosce chyba całkiem giną, jak np. gwiazdka — gwiazdory, w sylwestra — gwiżdże, czy Trzej Królowie. To już jest wyjątek, że ktoś przebierze się, a hafty kaszubskie, to młodzi chyba też nie haftują” (K, Nr 124, K, ok. 30 l, brak danych o wykształceniu).

„W życiu trzeba być stanowczym, czasami twardym, uczyć się i pracować, nie kierować się innymi, tylko z odwagą iść naprzód, dlatego według mnie ludność na wsi żyje niekiedy lepiej niż w mieście, z wszelkimi wygodami (samochód, telewizor kolorowy, wideo, wyposażenie mieszkań itp.), a więc wydaje mi się, że życie na wsi jest ciekawsze, piękniejsze a pracować trzeba zawsze, czy w mieście czy na wsi”. (K, Nr 115, K, ok. 30 l, brak danych o wyksz.).

„Ludność kaszubska zasadniczo nie różni się od pozostałej ludności. Może jedynie tradycjami, mową, ale to tylko na co dzień w domu, w pobliskiej wsi. W mieście jest inaczej, może to środowisko działa na sposób bycia Kaszuba (zwłaszcza młodego), stara się podporządkować miejskiemu sposobowi bycia, wręcz wstyd mu się przyznać do mowy kaszubskiej, bo to w środowisku ma ujemny oddźwięk, budzi drwiące wstawki (to głupi Kaszub itp.). Pokolenie starsze (rodzice, babcie, dziadkowie) bardziej trzyma się tradycji, zwłaszcza mowy, ale też kultury (hafty, malowidła, rzeźby). Przywiązanie do pracy zbiorowej (skubanie piór, kisenie kapusty)”. (K, Nr 138, K, 18 l, wyksz. podst.).

„Istnieje przekonanie w innych regionach Polski, że Kaszubi są uparci i wydaje mi się, że tak jest. Region przychylny Kaszubom to Ślązaki. Umieją znaleźć wspólny język i dochodzą do porozumienia — w przeciwieństwie do warszawiaków czy poznaniaków. Ogólnie żyje nam się nieźle. Dziękuję”. (K, Nr 121, M, ok. 30-35 l, wyksz. podst.).

„Ludność ta powinna mieć większe prawa społeczne i polityczne. Jest bardzo gospodarna i silnie związana z regionem i krajem. Ma specyficzną i barwną kulturę, ciekawą przeszłość i bogate tradycje. Sympatyzuję z tą

ludnością i odpowiadając żaluję, że nie jestem Kaszubą. Dziękuję za nadesłanie ankiety. Popieram ZK-P i chętnie czytuję »Pomeranię«". (NK, Mazur, Nr 132, M, 30 l, wyksz. wyższe).

Wypowiedzi mieszkańców miasta Puck:

„Problemy ludności kaszubskiej są takie same jak wszędzie. (...) Do negatywnych zjawisk można zaliczyć robienie na pokaz wielu rzeczy (w tym chodzenie do kościoła). Niechęć do rodzin napływowych, wrogość do odmiennych poglądów niż sami reprezentują; nie podobają mi się wesela kaszubskie (picie po kimś z kieliszków, męczące chodzenie z tacami kieliszków), załatwianie wszystkich spraw dla swoich". (NK, Nr 597, M, ok. 30 l, wyksz. wyższe).

„Tradycje kaszubskie winny się rozwijać, nie zanikać. Ludność kaszubska w większej ilości to jest naród samolubny, chwiejny, w większości przystępujący na stronę tam, gdzie jest im lepiej, brak życzliwości drugiemu człowiekowi, a do przybyczy z głębi kraju są wrogo nastawieni". (NK, Nr 575, K, 43 l, wyksz. ZSZ).

„Uważam, że w każdej grupie społecznej znajdują się ludzie dobrzy i solidni, ale i w tej grupie są ludzie podli i źli. Mieszkam zbyt krótko na Kaszubach (6 lat), aby mieć skryształizowany pogląd na tę grupę społeczną. Muszę jednak przyznać, że poznane tu osoby, a nie dzieło ich na Kaszubów i nie — są przeważnie solidni. Ogólnie mogę powiedzieć o ludziach tu zamieszkałych, że są bardzo uczciwi". (NK, Nr 568, K, 35 l, wyksz. wyższe).

„Traktuję ludność kaszubską z sympatią i podziwem, choć nie wszystkie zwyczaje akceptuję (szczególnie te, zaczerpnięte z tradycji niemieckiej, np. sposób przyjmowania gości i przyrządzania potraw). W rodzinie męża (dalszej) są Kaszubi od wieków bardzo zasiedziali na wsi. Godni podziwu i naśladowania. Znacznie mniej pozytywną opinię mam o tzw. »przyszywanych Kaszubach«. Pazerni na wartości materialne". (NK, Nr 591, K, ok. 30 l, wyksz. — brak danych).

„Uważam, że Kaszubi dają się zdominować przez nie-Kaszubów, którzy na Kaszubach zajmują w większości stanowiska kierownicze. Kaszubi nie są karierowiczami, nie umieją rozpychać się łokciami, nie pną się w górę za wszelką cenę. Dają się kierować i prowadzić nie-Kaszubom, co mnie trochę denerwuje. Powinni się jednoczyć, popierać i wspólnie działać dla podtrzymania i rozwoju Kaszubów, jako silnej grupy etniczno-regionalnej". (K, Nr 559, M, 50 l, wyksz. ZSZ).

Nie potwierdza się pogląd, zwłaszcza na wsi, że tylko pokolenie starszych jest zaangażowane w pielęgnowanie tradycji. Problem ten staje się również, jak widać, ważny dla części młodzieży. Ciekawe jest dostrzeganie podobieństwa losów ze Ślązakami.

W mieście utrzymują się jeszcze, mimo mieszanych małżeństw, wzajemne uprzedzenia. Odnoszą się one do obyczajów, języka oraz przede wszystkim ocen moralnych, związanych z tzw. charakterem etnicznym i co za tym idzie systemem wartości. Mają tu swoje odzwierciedlenie doświadczenia życiowe przybyszów, jak również stereotypy propagandowe, zaczerpnięte ze środków przekazu. Z drugiej strony, tendencje do nadużywania alkoholu w niektórych środowiskach kaszubskich, pewien konserwyzm i „zamkniętość” mogą usposabiać do Kaszubów ludzi z zewnątrz niechętnie. Warto zauważyć także inny wątek w wypowiedziach nie-Kaszubów, a mianowicie charakteryzujący Kaszubów jako życzliwych po przełamaniu barier w wyniku bliższych kontaktów. ■

Edward Breza

CZARNOWSCY I ICH PRZYDOMKI SZLACHECKIE

Pomorska drobnoszlachecka rodzina Czarnowskich współcześnie jest mniej liczna niż historycznie, jak na to wskazują poświadczenia źródłowe. Czarnowscy wywodzą się ze wsi Czarnowo pod Brusami w b. pow. chojnickim.

Sama wieś Czarnowo poświadczona została w źródłach w czasach krzyżackich, zapisana w roku 1344 jako Czernow. Potem pojawiają się zapisy typu Czarnow, Czarnowa, Czarnowo, zdradzające wahania w rodzaju gramatycznym. Źródła pomorskie — księga metrykalna parafii Brusy i księgi ławnicze Kościerzyny z XVII w. notują nazwę wsi w postaci Ciarnowō i pochodne od nazwy tej wsi nazwisko Ciarnowski i Carnowski. Do dziś miejscowi Kaszubi mówią na wieś Cõrnowō, a nazwisko Czarnowski wymawiają Cõrności. Te miejscowe kaszubskie formy pozwalają na jednoznaczne objaśnienie nazwy wsi Czarnowo i nazwiska Czarnowski oraz wtórnego Karnowski. Niemcy powtarzali nazwę wsi w postaci polskiej Czarnowo. Przymiotnik od tej nazwy brzmi czarnowski, po kaszubsku cõrności. Tak też brzmi pochodne nazwisko szlacheckie Czarnowski.

Wyjaśnijmy zaraz skąd wzięło się nazwisko Karnowski, częste w Chojnickiem, a zwłaszcza w parafii Brusy. Najwybitniejszym nosicielem tego nazwiska był, jako wiadomo, Jan Karnowski (1886-1939), poeta, sędzia i działacz kaszubski. Otóż, jak wspomniałem, po kaszubsku nazwisko szlacheckie od wsi Czarnowo, po kaszubsku Cõrnowō, brzmi Cõrności i we wspomnianych: księdze metrykalnej par. Brusy i w księgach ławniczych Kościerzyny zapisane było często Carnowski. Księga bruska pisana była po łacinie, a w języku łacińskim znak c przed samogłoskami a, o, u, czytamy i wymawiamy jako k. Dlatego zapis kaszubski Carnowski odczytano na wzór łaciński Karnowski i tak już zostało: z formy pisanej Carnowski powstała forma mówiona Karnowski. Dziś związek etymologiczny, a prawdopodobnie także genealogiczny obu nazwisk i rodzin zatart się.

Sama nazwa Ciarnowō, po kaszubsku Cõrnowō pochodzi od rzeczownika ciern, tarnina i utworzona została za pomocą przyrostka -owō. Jest to nazwa topograficzna wskazująca na rosnące w okolicy tarniny. Nazw typu Tarnów, Tarnowo od omawianego rzeczownika tarnina, ciern jest w Polsce dużo. Przejście nazwy z formy Ciarnowō do postaci Czarnowō dokonało się wskutek nawiązania do przymiotnika czarny.

Czarnowscy herbu Sas, Pobóg i innych, najczęściej własnych, notowani są w Czarnowie od XVI w. W roku 1570 w Czarnowie mieszkało sześciu Czarnowskich: dwóch Janów, Grzegorz, Bartłomiej, Wojciech i Urban. Nadto ziemię w Czarnowie mieli: Maciej Rumel, Maciej

Wnuk i Urban Żabiński. Mieszkał też jeden ogrodnik (*hortulanus*). Była to szlachta drobna, posiadała od 1 do 4,5 łanów ziemi. Rumel i Wnuk wystąpili później jako przydomki Czarnowskich. Ponadto heraldycy wymieniają u Czarnowskich następujące przydomki: Bialek w postaci tłumaczonej na niemiecki, czyli Weiss, Dolny i Nadolny, Maczka, Maszk, Ukleja, Wika, Witek i Złosz. (Dopowiedzieć trzeba, że dużo wiadomości historycznych o rodzinie Czarnowskich podał Anastazy Wika-Czarnowski w pracy „Historia rodu Wika-Czarnowskich”, wydanej w Kościerzynie w 1930 roku nakładem „Gazety Kościerskiej”).

B i a ł k udokumentowany został w źródłach od XVI w. w Bytowskim (najczęściej w Jeleńcu), w Krępiechowiecach w b. pow. lęborskim i w Podjazdach w Kartuskiem. U Czarnowskich Sas pojawił się późno, bo dopiero w XIX w. i to jako tłumaczenie niemieckie w postaci *Weiss* czy spolszczone *Wys*. Dziś na i poza Pomorzem często występuje nazwisko *Bialek* i *Bialk*, genetycznie określające na pewno blondyna. Również często spotykane jest nazwisko *Weiss*, pochodzące od niemieckiego przymiotnika *weiss* 'biały', polszczone za pomocą przyrostka *-ka* do postaci *Weska*.

D o l n y poświadczony został w Czarnowie w pierwszej połowie XVIII w., późniejszą jego dokumentację odnalazł J. Karnowski i A. Wika-Czarnowski, monografista rodziny. Przydomek *Dolny*, wystąpił też u mieszkających w sąsiedztwie Główniczewskich z Główniczewic. W postaci *Nadolny* omawiany przydomek poświadczony został u Czarnowskich już w roku 1570. Niektórzy pisali też *Nadolski*. Przymiotnik, a potem przydomek *Dolny*, *Nadolny* i *Nadolski* oznaczały 'kogoś, kto mieszkał na dole we wsi' w przeciwstawieniu *Górnemu*, *Nagórnemu*, czy *Nagórskiemu*. Dziś są to licznie spotykane nazwiska w całej Polsce.

M a c z k a notowany jest przez W. Kętrzyńskiego od roku 1600 u Czarnowskich i Stawickich. Czarnowscy bowiem pod koniec XVI w. nabyli ziemię w Stawiskach pod Kościerzyną i dlatego pisali się Czarnowscy-Stawiccy lub osobno Czarnowscy, Stawiccy albo Stawiscy. Przydomek *Maczka* jest spolszczoną formą od niemieckiego *Matzke*, a ta pochodzi od imienia *Maciek*. Imię *Maciej* występowało bardzo często i dlatego nie dziw, że stało się przydomkiem wielu rodzin. Od niego też pochodzi również licznie występujące nazwisko pomorskie *Mach* i *Maszk*. Ten ostatni wariant spotykamy też jako przydomek Czarnowskich.

M a s z k został zapisany w księgach ławniczych Kościerzyny z roku 1602 następująco: „miedzy szlachetnymi (...) Simonem Czarnowskim alias (tzn. inaczej) Stawiskiem maszkami bracią”. Przydomek *Maszk* nosili także Czarnowscy, pisani również Stawiccy lub Stawiscy. Niektórzy notują także u Czarnowskich przydomek *Matyk*, też oczywiście pochodzący od imienia *Maciej*. Dodać można, że *Matyk* i *Matyka* są notowane głównie na południu Kaszub, jak np. sołtys Tomasz Matyka w Raduniu w roku 1664.

R u m e l. W roku 1570 mieszkał w Czarnowie Maciej *Rumel*, potem w roku 1609 księgi Kościerzyny notują „szlachetnego Tomasza Czarnowskiego alias *Rumla*” na grutach dziedzicznych wsi Czarnowo. Przydomkiem *Rumel* posługiwali się nadto Czapiewscy z Czapiewic i Żalińscy z Żalna w Tucholskiem. Obok postaci *Rumel* pisanej też *Rummel*, na Pomorzu znane jest także nazwisko *Ramel* i *Romel*. Wszystkie one pochodzą od imienia *Romuald*, opartego na rzeczowniku *Ruhm* 'sława'. Dodać

warto, że Miastko po niemiecku nazywało się *Rummelsburg*; nazwę tę nadali miastu Krzyżacy. Na południu Kaszub używany jest wyraz pospolity *rumel* na określenie 'potańcówki'. Jest to pożyczka z niemieckiego *Rummel* 'hałas' i z omawianym przydomkiem nie ma nic wspólnego.

U k l e j albo **U k l e j a** notowany był u Czarnowskich od XVII w. w księgach miejskich Hojnic. *Uklejowie*—Czarnowscy posiadali także ziemię w Gliźnie, Chelmach Wielkich (tu notowana też forma patronimiczna czyli odojcowska *Uklejczyk*), Stawiskach i w innych wsiach. *Ukleja* wystąpił nadto u Czapiewskich z Czapiewic i u Czerniewskich z Czerniewa pod Gdańskiem. Przydomek *Ukleja* pochodzi od używanej w całej Polsce nazwy ryby *ukleja*, a po kaszubsku *uklej* lub *uklejka*. Wariant *Ukleja* jest zatem ogólnopolski, a *Uklej* kaszubski. Dodajmy tylko, że nazwiska od nazw ryb są częste. Można dodać, że rzeczka przepływająca przez wieś Kalisz w Kościerskiem nazywana była historycznie *Uklejnicą*.

W i k a notowany był w księgach ławniczych Kościerzyny od początku XVII w. Nadto *Wikowie*—Czarnowscy poświadczeni zostali w kilku wsiach w Bytowskim. Nasuwałoby się tłumaczenie tego przydomka wyrazem pospolitym *wyka*, po kaszubsku *wika* tym bardziej, że nazwisko *Wyka* występuje w Polsce. Rzecz jednak w tym, że na Pomorzu w XVI i XVII w. *wyka* nie była jeszcze znana. Bardziej więc przekonuje wywiedzenie tego przydomka od imienia *Wit* z obocznym końcowym *k* i dodatkowym wygłosowym *-a*. Wymiana spółgłosek *t* i *k* zachodzi w języku często, np. przymiotnik *twardy* wymawiany bywa często, zwłaszcza przez dzieci, *kwardy*. Przydomek *Wika* nie używały inne rodziny kaszubskie.

W i t e k to przydomek występujący przede wszystkim u Chośnickich z Chośnicy w Kartuskiem, tam też notowany od XVI w. i u Niepoczółowskich z Niepoczółowic w Lęborskiem. Nadto udokumentowany został u Borzyszkowskich z Borzyszków, Glińskich z Glińca w Kartuskiem, Jeżewskich z Jeżewa w Lęborskiem, Pobłockich z Pobłocia i Tępskich z Tępcza w Wejherowskiem. Niektórzy heraldycy odnoszą Witków także do Czarnowskich. Przydomek jest oczywiście spieszczonym imieniem od *Witosław*.

W n u k poświadczony został w roku 1570 w Czarnowie, mieszkał tu wtedy Maciej Wnuk. Przydomek ten wystąpił także u Ciemińskich z Ciemna w Bytowskim, Czapiewskich z Czapiewic, Dąbrowskich z Czarnej Dąbrówki, nadto u Lipińskich i Trzebiatowskich. Przydomek ten wywodzi się od wyrazu pospolitego *wnuk*.

Z ł o s z notowany był najpierw od XVI w. u Czapiewskich, potem od XVIII w. także u Czarnowskich. W dokumentach niemieckich zapisywany był niekiedy *Schloss*. Rzeczownik niemiecki *Schloss* oznacza 'zamek' i dlatego pojawił się wtórny przydomek *Zamek*, funkcjonujący u Czapiewskich i u Gliszczyńskich. Nazwa *Złosz* powstała jak *Długosz* i *Milosz*, od przymiotników *długi*, *mily* i *zły* przez dodanie przyrostka — *osz*.

Przydomek Czarnowskich występujący także u innych okolicznych rodzin drobnoszlacheckich, głównie na tzw. Gochach, a więc u Borzyszkowskich, Czapiewskich, Lipińskich, Kliczkowskich, jedynie przydomek *Wika* właściwy był Czarnowskim. Wiele przydomków przyjmowały rodziny wskutek koligacji rodzinnych. Źródłem przydomków szlacheckich były znowu imiona, jak w nazwach: *Maczka*, *Maszk*, *Matyk*, *Rumel*, *Wika* i *Witek* oraz wyrazy pospolite jak w określeniach: *Białk*, po niemiecku *Weiss*, *Dolny* i *Nadolny*, *Ukleja*, *Wnuk* i *Złosz*.

Skąd Gusta sę wzięła? Z jaczich kęntów do nas przësza, jaczi bël wark jij starszich? — tego lëdze dobrze nie wiedzëlë, a leno plestelë o ni, co jim pliw na jëżëk przëniôsł.

Gòdelë, że bëła dzeckem ubodżich, lóziech, lëdzy, chtërne wnet umerlë. Jinszi powiòdelë, że bëła znalazkem jaczis wiòldzi wastnë, chtërne no dzecko zawòdzało i wstidno dała ję biédnym beznacznym lëdzom. Gòdelë téż, że Gusta miała przezwëstko Gołabk, le Miemcë ją skriblëlë Taube. Jak dosëżno bëło, to le sòm Bóg jedurny wiedzòł.

Cziëj jò poznòł Gustë, bëła ju starszą, le jesz prëk białką. Gòdòła le po kaszëbsku. W robocy dżëń nosëła korczy, dludzie, welniani, na czòrno farbowané strëflë, na gołwie miała wiòlgą bërmëtë, na kabòcë i czitku szërtuch abo szorc. W zëmie wkłòdała lólë, bótë, a na gołwë muckë. Mieszkàła w mòlim kabusku z kuchnią u Burchaczów. Za to mieszkanië placëła gmina i jesz Gusce dòwała czile złotich na miesąc.

Gusta wiédno miała ful rëce robotë. Na zýmku kòżdi gbur ją ròd bròł do pomocë. Dostòwòła za to wiédno kask dëtków, a jesz chlëb, mąkë, masło, krë, czasami kosz bulew i téż ogrodzëznë. Kole świętëgo Jana zbiërała u gburów krëzbulë i świętojanczi, a te co od nich dostała dlò se na zëmë zapròwiała. W rëzanie w lese zbiërała jagodë i malënë. Jagodë zapròwiała abo sësżëła, malënë mużdżëła. Jak ji sprzedała w krómie, téż miała dobri wżatk. Robiła téż u lëdzy przë sëszenim torfu. Ponému przësza robota prze sanie, żniwach. Gusta tëlì zarobiła, że o zëmë bëła spokojnò. W sklepie miała tëlì szpiżë, jak jaczës gbur.

Gwësnëgo dnia, tak ju po żniwach i deszczach, jò ròczël mëmkë, żebë mie zbudzëła reno na grzëbë. Le jak jò sę reno wëjajił i przëszed do Wiòldzi i Mëcowi Chojnë, Gusta ju szła dodòm z wiòldzim bulwowim koszem jaż pod pałak ful grzëbów.

— Pój le nazòd. Wszëstczë grzëbë jò ju mòm tam zebrónë, të za dlugo spòł — rzekła i dała mie w leszczónkë kask grzëbów dlò nas na pòlni.

Grzëbë Gusta sprzëdòwała. Dlò se sësżëła na słuńcu, w piecu po chlebie abo nawlòkała na birniòk. Miała tëlì grzëbów nasëszonich abo zasolonych, zaprawionych w occe, że ji sygło na cali rok wkòł.

Pòzdną jesenią Gusta cëlemało chodzëła do kròmu. Szpiżòwała na zëmë: sól, cëczier, riz, kawë i wszëtczi przësztelënczi, jaczi białczy w kuchni brëkują, a téż wiédno pòrë pudelków sztreholców i czile litrów pitrochu. Za wszëtko placëła dëtkami, nigdë nie wzięła nick na krédë.

W zëmie wiëzła z welnë strëfle, rëkawice, szalë, swetrë abo na kòłku przëdła welnë. Nigdë jò nie widzòł, żebë sedzëła bez robotë. Taką to Gustë, cëchą, robocą, chëtą do pomocë lëdzom, jò znòł za mojih młodich lat.

BIÒŁÉ BOCÓNÉ

Gwësnëgo dnia tatk wëklepòł trzë kosë, dło se i do mojih dwòch starszich bracinów.

— Witro reno pudzemë sec naszą wiòlgą łakë — powiedział.

Dredziëgo dnia tatk z bracynami przëszlë dodòm jasz kole pòlnia. Łaka bëła zesekłò. Kask odetchnëlë, zjedlë pòlni, a tël szlë do stodołë na słomë spac. A jò szëdl z mëmką, Gustą i nòjmłodszą moją sostrą na łakë, żebë rozrëcëc pokoszi i kask otalno ograbic.

Na łacë chodzëlë biòłë bocónë. Chcòł jem widzec, jak te bocónë podskakiwają jaż zlecą i jem zaczął do nich gnac.

— Dòsz të jim pòku, to je grzëch bocónóm dozërac! — wadzëła Gusta.

Skąd jò miòł o tim wiedzëc?

Cziëdë më rozrëcëlë pokoszi jò czuł, jak Gusta rzekła do mëmczi:

— Do Szrëdrów Trudzi mò mèst wnet bocón przëlecëc! Co to sę nie dzeje na tim swiecël! Taczi młodi dzewus, obròz w precesëji nosi, a tu mòsz! To je zgarda dlò cało parafiji. Ksądz so włosë z gołwë wëriwò. Że téż taczi dzewusë sròmu nie mają!

Po wiòldzi łacë u nas seklë mòło smudzi, a wszëdzë jò widzòł ne biòli bocónë. Skąd jich sę tu tak od raza tëlì wzëło? Tëc w okolë są le dwa czë trzë bocóni gniòzda. Jò na të bocónë ni mògl terò zgarac. Chto bë to mësłò! Taczi snòzi ptòchë, a tëlë nóm wszëstczim wstëdu przënòszają! A Gusta jész wadzi, żebë jim nie dozërac. To mò bëc grzëch! Cos to tu nie szëmujë! Niëch le jò urosë, tël jò jima pokòżë!

Po sanie bëła robota ze sadzenim wrëków, ponému wożeni torfu, a wszëdzë jò widiwòł në biòłë bocónë! Gdzie jò miòł przed tim oczë, że jò jich nigdë nie widzòł?

Z nich robót jò warcòł taczi wëhartowóny, że mògl jem zjesc za trzech jinszych knòpów.

— Cësz na swiecë — gòdała mëmka — knòp jë jak chłop, a to le je z niego skóra a gnòt, a nodzi mò jak bocónë.

Mosz babo zòpustë! Znòwu të bocónë!

W niedzielë jò bël na wiòldzim w koscelë, po mszë i kòzanim bëlë rechcënë mòlich dzëcy. Cziëdë më z koscoła wëchòdëlë, gwësnò białka rzekła do drëdżi:

— To dzis dolgo dërowało, bo të bocónë mają tich dzëci nanoszonë a nanoszonë.

Czë ti lëdze obarchniëlë? Gdzie le dòsz krok, wszëdzë je le gòdka o bocónach.

Kole kuńca jigrzana, cziëj szëdl jem ostatny ròz ze szkòlë dodòm, szasëją przez wies nëkało jaczis auto z namalowanymi po bokach czërwionimi krzizami.

— To poszëk gnaje do Malotczëni, bo do nij mò bocón przëlecëc — rzekła jakòs białka do drëdżi.

Jô bë bëł wnet na ziemię upôd! Cësz to sę za dziwni ptôchë tã bocónë, onë gwës tratotami zaczął lôtac! Tak jima je drawno.

Czas lécy jakbë batugem trzas. Në jo, jô sę ani nie obezdrzôł, a ju mië wżëł na dwa lata na Hël do wojska. Tam bëło jak bëło, le bez bocónów. Tak jô na szërk miôł z timi klëkami bezpiek. Po wojsku jô ju bë bëniel pod wësem. Jedurne bocónë tu tim czasem sę nie zgniliłë. Wielë dzewusów sę ôżeniło, a bocónë swoim zwëkë nanosëlë jim dzëcy.

Gwësni niedzële jô bëł na wiôldzim w kosce. Tam mië w oko wpadła, że ni mógł jem ji nijak wëgarnąc. Grôtowa Ana. Na posóbną niedzëłë jô znówu bëł na wiôldzim i nicht mië moich szëków ni mógł poszargac. Jô upasowôł, jak Anka z koscoła szła dodóm, dognôł ję i tej më sę dogôdëlë. Anka zaprosëła mië do se na pólnie, potëmu na szpacër. Cziédë ju kole podwëczôrku jesmë sedzëlë w jich szónach, niespodzajno nad nami przelecalë dwa wiôldzi biôłë bocónë.

Cëż na swiecë! Ji tu one nas wëszukaël!

Odnąd jô biwôł co niedzëłë u Grotów, abo lepi rzec — u Anczi. W jesëni, po bulwach wëbierani, Anka mië cëcho szepnëła do ucha, że në bocónë cos tam mają wëbrojonë. Jesz przed jagwëntem më wżëlë zdënk i wëprawilë wieselë.

Po opartolënach jô z Anką mieszkôł w naszi chelpie w kuńcu na wzenik, bo më załôżëlë nowi gniôzdo. A tata z mëmą mieszkëlë w kuńcu chalpë na wzanik, bo jich żëcë pomalinku jak słuńcu poczëło wzanikac.

Na drëdzi rok zymk bëł dosë wczas. Ju na Józwa jô robił w polu, le jész wczasni jô zbudowôł dlô bocónów gniôzdo na naszi stodołë. Czile dni udërwało do starbotë, a ju biôli bocón bëł tu. Usôd so na gumnie, obezdrzôł dobrzë na kolo, sprôbowôł, czë ono dobrzë lëży, zaklekotôł i odlecôł. Drëdziego dnia reno on ju bëł tam ze swoją białką — bocónicą. Onë sę od razu wżëlë do robotë — budowalë gniôzdo.

Posóbnëgo dnia bocónica ostalë reno w gniôzdze, on te sôm lecôł na łączi. Za godzënë, dwie bocónice tész ulecały na łączi i tëlë swojemu bocónowi naklekotały, że on gwësno uszë zamikôł. Gwësno mu powiedzala, że zniosła pierwszë jajo. Jaczis czas minął i Anka mië rzekła reno du ucha, żëbëm szedł po stôrą Szmudënë, dalek i szërok znóną dzecotapkë, chtërna jak bocón lëdała dzëce chwatac. Jô z ucechë wżął korci w gôrsc i na prosto nëkôł przez pola.

Szmudzënë wżëła swoją torbë i palëcë i ju më szlë do moji Anczi.

— Chutczy jak witro reno bocón nie mdze tu — rzekła Szmudzenô. I jakbë wëzgałë. Drëdziego dnia reno przëszła Gusta, a i bocón bëł na czas. Przëniôsł nóm môli dzëwczatko po moji bialcë Ankë.

Znówu czile lat udërwało do starbotë. W podzëce za no gniôzdo bocón przëniôsł nóm czile knôpiczków i czile dzewusów.

Czas chutko zlecôł. Môłô Anka ju miała bëc przëjëtô. Przëszła Gusta. Wszëscë më sę snôżo wëstrojilë i wëszlë na podworzë. Môłô Anka we wëstrôdku, a jô ze swoją Anką po ji jëdny i drëdzi rëcë. Z gumna zdrzalë na nas naszë biôłë bocónë i klekotalë, że jasz w jizbach hôlowało. Gwës bëłë rôd swojemu dekówowi.

Alojzy Nagel

Biskup Dominik

Ził wëstrzôd nas.

Dlô jinszych

miôd,

Dlô se piôłni.

Dësza czëstô

jak płaczka.

W robocë

pszczoła,

cziej jôdl kromiaga

cerplëwi Job.

Taczi bëł On:

Kaszëba

Biskup

Człowiek.

Człowiek

Człowiek to drewno

spôłone;

To lëst z drzewica

szmërgniony;

To tajacy sniëg;

Przemijo jak cën

Je,

Bël,

Ni ma,

Je,

Mdze wiedno

Jak dlugo

mdze wiecznosc

Wiersze z tomiku "Otemknij dwiërze", który ukazał się w połowie tego roku nakładem Wydawnictwa Diecezjalnego w Pelplinie z inicjatywy i przy współudziale Zarządu Głównego ZK—P.

Alojzy Nagel zadebiutował jako poeta w 1953 r. Pierwszy tomik poetycki "Procem nocë" ukazał się w 1970 r., następne: "Cassubia fidelis" w 1971 r., "Astre" w 1975 r., „Szadi Władi” w 1981 r.

Najnowszy wybór wierszy jest świadectwem wiary człowieka głęboko doświadczonego losem.

Otmikac zdrzeníé

Nie mdę dalek od prowde ciej rzeke, ze chęba wszęcizim naszymcom ē pręcōconēm goscōm widzało sę kongresowi zindżeni. Zanolęgało na tém, żebē pręcizdrzec sę naj dokōzōm: cżē to są same kwasné helczci, cze tēz dozdalē jaseń słodzēznē dozdrzeniałēch kręszków. Mēsłē, że tēj omiodē bēło wicy! Djadē nōjwōżniejszy bēł nēn pokōzk swjēdē Kaszēbōw, chtērny nie rozszarwarkawēle wātku po swojēch tatkach, tej sej go ustrozēle. W naj partach je machtny dżēl zrzēszeniowi sēlē.

O tē moc, choc ona nie je jesz tako jak mē bē chcēlē, zōzdrośni są rozmaiti karna ē grēpē lēdztwa, chtērne jaciś natrzasli Purtk wycygnął do wojnē na gōrze ē na niżawach. Nie dōjta sę Kaszēbi obuszec przez tēch oszołomōw — malēch politikerōw, wiōldziēch heretnikōw. Obuszonēch ē zwadzonēch letko bēlobē na sztēcziē podzēlēc. Dobrzewnō mādrosć zwęczy w znonym zewiu: „zrzēszonēch naji nicht nie złōmie”. Taciēgo drzewiēca, chtērne mō cwiardi ē zdrowi drżēn, tak zarōsku nie złōmie niezōdnō wiatwa. Znankā lēdzciēgo zdrowia je wētrzēmalosc na grzimē wszēljaczēch poszēdlōw ē tręcēznōw. Dēcha tēz nōlēgo branic przed zōchwatēm taczēch tręcēznōw, jako no fanatizm, dērnota szowninizmu, bēnowō strēpialosc. Nie je dręgo wlēc w to maniewidnē koło, lēno dręgo z niego wēlēzc. Naji malō Tatczēzna stoi w oczach wszęciciēch swojincōw, pojsa, nie we wszęciciēch sercach kaszēbsciēch nalōł sę dlō nie dosēzny mōl. Możē ē z taciēm pręcitrōfciēm nolēgō sę rēchowac: do dzysdniowēgo swiata wēpucowanēgo na modlē paryskā (nie milēc z naji Parysēm) gburskō ē lēdowō kaszēbizna za baro nie pasēje. Od słowa do maklewnē dżējbē nie je dalek. W zdrzeniu dosc machtnēgo partu naszymcom, kaszēbizna je na sztōlt węcyczniālēgo wātku, erbowonēgo z nie-

okrzesanēj epoci plemiennie-szczepowēj.

W naji žēwoce mdze pērznę parminia, žlē zaostōnie w nim mōl na biōtkę ē starę o kaszēbiznē rżanā, prostowā w korzeniach, a pēsznā w kwiatatēch zōwijach. Ę prawie takā swojiznē, bokadnā ē samorodnā, a nie ciej podlecōnkę ufrizowanā na ort wialgopańszi, miōł na mēsłē jedn z tczēwortnēch goscōw kongresowēch, z chtērny mēsmē sobie sadnēlē, żebē wēpic kōfkę. Naji kōrbiōnka co ē rōz cērnela prziōdotē: co ona nam przeniēse? Jedno wierē je pewnē: witro mdze pełnē dramaticznēch klēczków, zaskokniēcōw. Mōj gosc, w jednym szterku jakbē uzdrzōł całā rēgę tēch mizerotōw, tōterwarkōw ē muszeb-nēch biōtkōw, nōgle z lisciēm zapalczēwotē w oczach powiedzōł: „kaszēbizno trwēj!” Ten odzēwk plasował sę gdzēs we westrzōdku — midzē sēdecznā žeczba a zōklęcym. Naprōcēm wszęcizim Purtkom musisz dērchac kaszēbizno, pręcchadac do rozwicy.

Zarōsku tēz dōł sę mnie cżēc odzēwk z Dichterslandu: „chwilo trwēj”. Gwesno muszala bēc baro piēknō ta chwila skorno Goethe poszedł za kolcēnciēm serca ē próbōwōł zatarczēc to, co ucēkō ciējbē woda. Żlē piēkno bēdżē postacējā, sztōltēm kaszēbiznē, to ona tēz przedērchō wszęciciē prōcemnotē. Piēkno, dzyrskosc, žēwi duch kulturē Pomorza ē Kocewia, je brzadēm nōpartnē prōce ē starē.

Dzysō, ciēdē wszētko chutczci sę zmiēniō ē beruje za brikā mōdē, nōlēgō baro uwōżno zdziōnēc sę nad naji młodzēznā. Jō sobie tego nie udbōł, to je dōwno rzekli: „trwanie nōrodu, to codniowy plebiscyt”. Żēbē cwiardo stanēc po stronie kaszēbiznē, nōlēgo pręcōdē miec ją w sercu. Od malinczēgo gżuba, szkōlnika. Nojwicy bēlnēgo możē zrobiēc szkōlny. W pierwnē rēdze taci szkōlny, co lekcję Tatczēznē cygnie przez wszęciciē pokolenia.

Czasē zachodzē w tēn mōj milachowsci lēb ē sę pitom, czemu tak knap je z młodima, chtērny zajmajā sę ochotno przeszłōtā Gduńska, Pomorza ē opocēsšku kōrbiā. że to gleba dlō nich namiēniōno? Widzy mnie sę, że kask odpowiescē, cżēmu tak dręgo biwō z regionalnā edukacējā, pręcieniosłō plestaniē z jednā szkōlnā od polsziēgo we Gduńsku. Ona zagwesniēla, że „Gduńsk, gdzie jō ju žējē dosc tile dlugo, nie je mojim gardēm, kresowē strōnē, skādka jō jem pochodnō, wēturzajā sę nibē wiōlgō abstrakcja”. A Bōlt? „To takō wiēkszō plēta”.

W jaci zemi — cygnē dali — szēkac tego sēdecznēgo nēnczēnēgo mōla? Możē w lēteraturze, w utwōrstwie romantikōw? Smiēch wastnē od polsziēgo sygnāl za odpowiesc. Naczidnēla jēszczi, że je miēlota pręcłgnēla do Krakowa.

Pręc taciś nasztēlēnku — odpowiedzōłem wastnie — darēnk lubotē możē trafic wszēdze ē nigdzē. Do Gwadēlupē, Pariża, Bērdiczowa.

Prōwdac, że wiele je taciēch lēdzy, co žējā w hewotnēm mōlu, teraznēm swjēcē, lēno nie žējā tim swiatēm. Cie jō tēdē szkōlny, jako tēn humanista, ni mō pērziōnczi miēlotē do nōjbliēszzi zēmi, jak on tēj możē podskacac w młōdēch skrē miēlotē do mōlowēch wōrtnotōw, do kaszēbiznē, do Gduńska? Nie ma tēdē dżēwotē, że legiōnē młōdēch wanożā po swoji zēmi ciējbē cēzyniēc, zdrzā na nią z jaciēgos Olimpu. Wēchodcē ze swoji kulturē... Paralusz, nie miōł jim chto oczōw otemknēc?

Samo jiscēniē nick tu nie pomożē. Żēbē otmikac zdrzeníē na swojiznē, uczalosc musi jisc w pōrżē z taciēm sērcem, jaciē miēl dr Lubińsci ē Waspōn z „Pomorzanōw” Aleksandra Majkowsciego. Szēsćē od Boga, że pōrē taciēch Wasponōw mōmē nie lēno westrzōd szkōlnēch.

Kreban z Milachowa

Edmund Piotrowski ze Szczecina stał się gwiazdą współorganizowanego przez „Pomeranię” VII Kaszubskiego Spływu Kajakowego „Śladami Remusa”. Na początku spływowej trasy, w Jasieniu, znakomitym śpiewem po kaszubsku uświetnił mszę, która odbyła się w niedzielę 12 lipca. Po południu natomiast solista poprowadził koncert rodziny Piotrowskich, na który złożyły się stare i nowe przeboje wykonywane z towarzyszeniem instrumentów elektroakustycznych. Rodzinny zespół poza Edmundem Piotrowskim tworzą: córka Agnieszka (śpiew) oraz synowie Paweł (kompozycja, aranżacja, śpiew, akompaniament i obsługa akustyczna) i Marcin (czuwa nad stroną techniczną imprezy). Gorącymi brawami nagrodzili słuchacze znakomicie wykonane przez głowę rodziny, pana Edmunda, dwie piosenki kaszubskie Jana Trepczyka i ks. Antoniego Peplińskiego. Szczególnie podobała się bardzo nowatorska aranżacja.

Po koncercie poprosiłem Edmunda Piotrowskiego o rozmowę. Zainteresował mnie nie tylko jego piękny baryton, lecz również bardzo dobra znajomość kaszubszczyzny. Oto co usłyszałem:

— Mój ojciec pochodzi z Gowidlina, natomiast matka z Kościerzyny. Ja zaś urodziłem się w Soszycy w Bytowskim, gdzie rodzice osiedlili się po wojnie. W domu tylko ojciec mówił po kaszubsku. Ale w Gowidlinie, u moich kuzynów, „po naszymu” mówili wszyscy. Często tam bywałem i też musiałem „gōdac le po kaszëbsku”. Dlatego dzisiaj tak dobrze sobie radzę z tym językiem. Do szkoły podstawowej uczęszczałem najpierw w Łupawsku, później w Jasieniu. Ósmą klasę natomiast ukończyłem w Lęborku. Po skończeniu liceum ogólnokształcącego w Bytowie przeprowadziłem się do Szczecina. Tam w szkole muzycznej zacząłem uczyć się śpiewu solowego, a później śpiewać w Państwowej Operze i Operetce.

Moja przygoda z piosenką, jeśli mogę tak powiedzieć, zaczęła się w Lęborku. Tam bowiem należałem do Zespołu Pieśni i Tańca „Młodość”. Wówczas śpiewałem oczywiście dyskantem. Później w Bytowie przez trzy lata byłem członkiem zespołu wokalnego, którym kierował znakomity instruktor pan Leszka. No, a gdy osiedliłem się w Szczecinie, śpiewanie stało się moją profesją.

— *To, co zaprezentował pan w Jasieniu należy raczej do gatunku piosenki rozrywkowej, a śpiewa pan przecież w operze i operetce...*

— Zasadnicze znaczenie w mojej twórczości artystycznej mają role operetkowe. Śpiewałem arię Mefista w „Fauście”, Stolnika w „Halce” i Zbigniewa w „Straszonym Dworze”. Piosenki zaś prezentowałem kilkakrotnie na Festiwalu Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu.

Zdobyłem tam różne wyróżnienia i nagrody, ze Srebrnymi Pierścieniami włącznie. Jednak nie te pierścienie są najważniejsze, ale to, że Kołobrzeg dał mi możliwość nagrywania muzyki operowej z orkiestrą Henryka Debiacha. Była to znakomita orkiestra, niestety w ubiegłym roku została rozwiązana. Z orkiestrą Henryka Debiacha śpiewałem arie operowe do albumu „Polska muzyka operowa”.

— *Kiedy sięgnął pan po repertuar kaszubski?*

— Kaszubskie piosenki znam od dziecka. Natomiast kilka lat temu poznałem między innymi Jana Trepczyka i ks. Antoniego Peplińskiego, którzy dali mi swoje piosenki. Poza tym w ostatnim czasie zdobyłem sporo kaszubskich śpiewników. Uważam, że skoro jestem z koncertami na Kaszubach, to przynajmniej część repertuaru powinna być kaszubska. Tym bardziej, że jestem Kaszubą i znam język. Używam terminu język kaszubski, a nie gwara, dzięki Janowi Trepczykowi, który bardzo się gniewał, gdy mówiłem o gwarze kaszubskiej. Dziś jestem w pełni przekonany, że kaszubszczyzna to język.

— *Czy w Szczecinie jest środowisko kaszubskie?*

— Według mojego rozeznania Kaszubów w tym mieście jest niewiele, w operze jestem jedynym. Moim marzeniem jest założenie w Szczecinie oddziału Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. Powinna tam być organizacja skupiająca ludzi pragnących ożywić kulturę kaszubską na tej przecież rdzennej, naszej ziemi.

Prenumerata

Jeszcze można zaprenumerować „Pomeranię”. Prenumeratę do końca roku przyjmuje redakcja lub biuro ZK-P. Wystarczy przesłać pieniądze pod adres Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego (Szewska 1-4, 80-834 Gdańsk), lub redakcji (Targ Drzewny 3/7, 80-886 Gdańsk), konto: PKO I O Gdańsk 19510-5890-132, albo opłacić bezpośrednio w wyżej wymienionych biurach.

Prenumerata w kraju na IV kwartał wynosi 27 000 (21 000 zł prenumerata + 6000 zł wysyłka). Za granicę 60 000 zł (21 000 zł prenumerata + 39 000 zł wysyłka).

O Szwajcarach mówi się, że ich ogromne przywiązanie do winnic, do zielonych pastwisk w górach pozwoliło ocalić piękno krajobrazu. Czy to samo można powiedzieć o mieszkańcach Szwajcarii Kaszubskiej? Uczuciowo są bardzo związani ze swoją ziemią. Pomimo tego nie zawsze uchronili najbliższe otoczenie przed różnego rodzaju plagami i zniszczeniami. Niestety, przyroda także ucierpiała w Kartuzach. Pobliskie jeziora, przydające miastu swoistego uroku, zostały zamienione w zbiorniki miejskich nieczystości. Otoczka leśna też jest bardzo przetrzebiona. Z tym większym rozrównaniem czytamy opisy „Kartuzji” w książce Jerzego Smoleńskiego „Morze i Pomorze”, wydanej pod koniec lat dwudziestych: „W samym środku Kaszubskiej Szwajcarii leżą Kartuzy, dawna siedziba starego o możnego klasztoru Kartuzów, który ongi nad rozległym włościł obszarem i w osadnictwie otaczającej krainy, ważną odegrał rolę. Pozostał po nim piękny średniowieczny kościół gotycki z resztkami krużganków i dawnym refektarzem, wzniesiony na przesmyku dzielącym jezioro Wielkie Grzybno — zwane także Klasztornem — od Małego Grzybna... W najbliższym sąsiedztwie widnieją obok Wielkiego i Małego Grzybna jeziora Melinko i Ciche. Olbrzymie stare buki i dęby porastają brzegi jeziora Klasztornego i tworzą pobliski Gaj Świętopelka, połączony alejami z miastem. Przepyszny dwustuletni las bukowy, chroniony jako rezerwat, otula Zamkową Górę nad jeziorem Cichym”.

Coś niecoś z tej dawnej świetności uchowało się jeszcze w Kartuzach i na ich obrzeżu. Kręgi zanieczyszczeń, spowodowanych rozrostem infrastruktury urbanistycznej, nie zniszczyły natury nadmiernie. Należy się jednak liczyć z tym, że przestrzeń wokół Kartuz, Chmielna i Ostrzyca coraz bardziej będzie się zaludniać. A zatem interes zbiorowy, który nie jest sumą interesów jednostkowych, partykularnych, nakazuje szczególną dbałość o zachowanie walorów fizycznych i kulturowych tego zakątka Kaszub.

Czy jest jeszcze możliwe stworzenie jakiegoś bardziej przejrzystego i harmonijnego układu między człowiekiem a przestrzenią? Na to pytanie udzielono w Kartuzach pozytywnej odpowiedzi. Jednocześnie opowiedziano się za takim modelem rozwoju, który nie niszczy biologicznie środowiska. Chodzi także o to, by miasto, bogate w zieleń, historyczną i artystyczną atrakcyjność, przyciągało turystów i twórców wrażliwych na uroki wiejskości i starych tradycji rzemieślniczych. Wpierw jednak trzeba uporządkować wiele spraw. Do najpilniejszych niewątpliwie należy przezwyciężyć rozbrat z dorobkiem przeszłości w architekturze wsi. Tradycja regionalnego budownictwa kaszubskiego oferuje możliwości estetycznego wzbogacenia współczesnej architektury.

Z grubsza biorąc tak właśnie przedstawia się problematyka, która znalazła się w głównym nurcie zainteresowań organizatorów i uczestników czerwcowej, uroczystej sesji Rady Gminy w Kartuzach z okazji II Kongresu

Kaszubskiego na temat „Rola samorządu terytorialnego w podtrzymywaniu, rozwijaniu i propagowaniu wartości regionalnych. Regionalizm jako wartość ceniona w świecie”.

Jak należy wiązać ideał moralny mówiący o obowiązkach wobec małej ojczyzny z materialnymi i społecznymi warunkami jego urzeczywistnienia, wypowiedział się socjolog, prof. dr Brunon Synak. Główna jego teza brzmi następująco: tradycja kaszubska, kształtująca swych nośników, wykazuje się w różnych rejonach, poddawanych badawczemu oglądowi, zróżnicowaną trwałością i żywotnością. Otwartość wobec innych kultur nie musi i nie powinna pociągać wyrzekania się własnych źródeł, przede wszystkim języka kaszubskiego. Rzecz w tym, by wszyscy Kaszubi, zwłaszcza ci zawstydzeni, zrozumieli, że rodzime wartości stanowią istotny element ich godności i podmiotowości jako grupy etnicznej.

ZRZESZENIOWE INSPIRACJE

Zachowanie tożsamości kulturowej zależy w dużym stopniu od określonych rozwiązań strukturalnych, ustrojowych. Im większe kompetencje polityczno-administracyjne lokalnych władz samorządowych, tym bardziej mieszkańcy miasteczka, gminy będą się utożsamiać z działaniami podejmowanymi i inspirowanymi przez swoich reprezentantów. Taka konkluzja była w wystąpieniu prorektora UG, mgr. Pawła Adamowicza. Toteż zasadnicze znaczenie będzie mieć dla pomyślnego rozwoju kraju regionalizacja, oznaczająca w praktyce przeniesienie w wielu dziedzinach życia publicznego punktu ciężkości z centralnego dysponenta, jakim jest państwo, na samorządowe regiony. Jednym z warunków jej powodzenia są kadry, odpowiednio przygotowane do udźwignięcia nielatwych zadań w samorządach i organach administracyjnych.

Pragnienie wyjścia naprzeciw tym zmianom, które sprowadzają się do umocnienia lokalnych ośrodków władzy, widoczne jest także w poczynaniach oddziału ZK-P w Kartuzach. Od dawna kartuskie Zrzeszenie występowało jako organizator czy inspirator wielu imprez i działań, które przynosiły korzyści całemu miastu. Jego członkowie czują się dłużnikami w stosunku do poprzednich pokoleń, zwłaszcza tych, które przynosiły sztukę i kulturę Kaszub w obszar codzienności. W minionych latach oddział ZK-P może nie zawsze pracował z jednakową wytrwałością i pasją. Ekspansywność ulegała wahaniom w zależności od tego, jacy ludzie nim kierowali, z jakimi trudnościami przychodziło mu się borykać. Dziś chyba oddział w Kartuzach ma lepszą passę. Próbkę swych możliwości i umiejętności zaprezentował na kongresowej sesji Rady Gminy.

W meritum sprawy dobrze wprowadzał komplet materiałów, które otrzymali uczestnicy sesji. A wśród nich podręczny zestaw projektów architektonicznych z sugestiami praktycznych rozwiązań, opracowany przez troje

architektów z Politechniki Gdańskiej: A. Basińskiego, B. Lipińską i T. Medowskiego. Temat stary (już w 1970 roku wraz z klubem „Pomorania” miesięcznik ZK-P lansował architekturę regionalną), ale jak się okazuje ciągle jary. Co prawda tu i ówdzie powstają na Pomorzu domy i zagrody nawiązujące do tradycji dawnego drewnianego budownictwa, ale są to przeważnie świadectwa indywidualnej pomysłowości, wszędzie jednak pełno jest bezstylowych pudełek o prostych dachach, przypominających bunkry i małe cytadele. Ażeby owe założenia i zasady kształtowania krajobrazu wiejskiego w regionie gdańskim uczynić jeszcze bardziej przystępnymi, organizatorzy sesji poprosili obecnych na sesji specjalistów budownictwa wiejskiego, by obrazem rzuconym na ekran i stosowanym komentarzem wzbogacili cykl swych szkiców architektonicznych, które można było obejrzeć na wystawie „Regionalizm w architekturze Kaszub”.

PATRZĄC W PRZYSZŁOŚĆ

Utrzymanie swoistości kulturowej naszego regionu, wyróżniających go cech fizycznych, staje się niemalże czymś w rodzaju misji dla zrzeszeniowego oddziału w Kartuzach. W takim przekonaniu utwierdza lektura postulatów tegoż oddziału, zaadresowanych do Rady Gminy w Kartuzach. Czym byłyby Kaszuby bez tej wewnętrznej różnorodności? Długowiekowa zasiedloność miejscowej ludności to za mało, by oczekiwać, że piękno ziemi i specyfika kulturowa znajdą mocne oparcie w procesach przebiegających żywiołowo. Słowem, w planie praktycznej w coraz większym stopniu chodzi o nadanie takiego kształtu rozwojowi cywilizacyjnemu, aby nie gubił on po drodze dóbr niematerialnych, takich jak kultura, ziemia jej bogactwo biologiczne, woda, powietrze, zdrowie. „Postulaty nasze zostały sformułowane w trakcie licznych dyskusji, organizowanych od ponad roku w naszym oddziale oraz na podstawie dorobku, jaki stworzył ruch regionalny”. Zacytowane zdanie pochodzi ze wstępu do postulatów oddziału ZK-P w Kartuzach, przygotowanych przez zespół zrzeszeniowy w składzie: Bogumił Bierawski, Zygmunt Bigus, Andrzej Borzestowski, Zofia Knut, Henryk Miotk, Barbara Pisarek, Tadeusz Stoltzman i Renata Mistarz.

Autorzy stwierdzają, iż nadrzędne jest dla nich „dobro wspólnoty kaszubskiej, ludności rodzimej Kaszub, Pomorza, która na naszym terenie stanowi przeważającą większość (...) Ochrona wielorakich dóbr naszej małej ojczyzny, to postawa patriotyzmu — tak znamienita dla etosu Kaszubów. Zabiegamy przy tym nie tylko o ochronę i zachowanie, ale i o rozwój naszego środowiska naturalnego, społecznego i kulturowego”. Kartuscy społecznicy czują się w pełni upoważnieni do występowania w imieniu naszyńców. Formułują daleko idące wnioski: wizyjność idzie u nich w parze z troską o należyte rozwiązanie spraw szczegółowych. I nie powinien nikogo razić nieco patetyczny ton tej zrzeszeniowej deklaracji. Jeśli bowiem dziś nie postawimy tamy napierającym zagrożeniom — jutro może już być za późno. Dzisiaj jeszcze „duch miejsca”, o którym pięknie piszą kartuzjanie, jest żywy.

Czy można liczyć na to, że w Radzie Gminy znajdują się sojusznicy zrzeszeniowych inicjatyw? Że nie pozwolą na to, ażeby osobowość regionalna uległa powolnemu rozmyciu? Mogłoby się tak stać, gdyby ludzie odpowiedzialni za stan gospodarki, ekologii i kultury w mieście i gminie Kartuzy, zamiast koncentrować się na problemach najważniejszych, wypalali swą energię w ciąg-

łych utarczkach, konfliktach i walkach wewnętrznych. Jestem pewien, że ten pesymistyczny wariant jest jedynie straszakiem.

BYĆ SOBA

Nie tylko sesja poprzedzająca II Kongres Kaszubski dowodzi, że postawy racjonalne, zdroworozsądkowe, tak potrzebne dziś wzorce pracy organicznej, mają korzystną głębię w psychologii i tradycji społecznej. Rzecz w tym, by bardziej się uzewnętrzniały, także w „szerokiej współpracy z innymi gminami, szczególnie sąsiednimi”. Na uznanie zasługuje troska działaczy oddziałowych o racjonalną organizację wszystkich dziedzin życia. Mają oni chyba świadomość, że o silnej pozycji Zrzeszenia decyduje nie tyle umiejętność postulowania, reprezentowania i propagowania mądrych rozstrzygnięć, co zdolność skupiania sił dla osiągnięcia ważnych celów. Poszerzanie kręgu współpartnerów, którzy potrafią rozwiązywać różne kwestie techniczne. Sposób działania kartuskiej organizacji świadczy o tym, że demokracja nie musi znajdować ujścia w gwałtownym starciach, lecz może się wyrażać w poważnym dialogu, w tworzeniu warunków ułatwiających władzy i społeczeństwu wykorzystanie zasobów materialnych, intelektualnych i aspiracji członków Zrzeszenia.

Jest to truizm, który trzeba przypominać wielu naszym oddziałom: ogromnie dużo zależy od tego, w czyje ręce dostaje się przewodnictwo terenowych agend Zrzeszenia. W ręku kartuskich nosicieli idei regionalnej znajduje się nie byle jaki atut: z badań socjologicznych niedwuznacznie wynika, że w gminie i w mieście Kartuzy ponad 85 procent ogółu mieszkańców deklaruje swoją przynależność kaszubską. Oznacza to, iż kaszubszczyzna odznacza się tutaj większą vitalnością niż w pozostałych gminach i miastach Kaszub. Jest to na pewno powód do dumy dla działaczy Zrzeszenia w Kartuzach. Zarazem uświadamiają oni sobie zapewne ogrom odpowiedzialności za utrzymanie tego, co rodzime, szczególnie języka, w stanie żywotności.

Z tego punktu widzenia można także oceniać i doceniać fakt powołania do życia przez oddział własnego pisma pt. „Werwas”. Wydaje się, że nieprzypadkowo sięgnięto po tę nazwę nieco przekorną, oznaczającą powsinogę, obieżyświata. Zajrzeć wszędzie, w każdy „rodny norcęk”. Patrzeć również na własne podwórko z perspektywy szerokiego świata. Ten głębszy oddech czuje się w sposobie redagowania „Werwasa”, w tekstach Renaty Mistarz, Barbary Pisarek i innych autorów.

W działaniach kartuskiego oddziału daje się wyczytać pewien stały motyw: być sobą, utrzymać i wzbogacać własną tożsamość kulturową można bynajmniej nie za cenę stagnacji, lecz poprzez pełne uczestnictwo w dynamice zachodzących przemian. Aby zasięg wpływów Zrzeszenia i uczestnictwa we współtworzeniu duchowego oblicza Kaszub był jak najszerzy, Zarząd Oddziału słusznie nastawił się na współpracę z dziećmi i młodzieżą. O celo-wości takiego nastawienia przekonuje oddźwięk, jaki budzą rozmaite konkursy, spotkania i imprezy w środowisku kartuskim. I tak na przykład niezwykle bogaty plon (200 prac) przyniósł konkurs plastyczny zorganizowany przez ZK-P i Młodzieżowy Dom Kultury „Moje Kaszuby”. Rzeczywiście, „warto było — jak zaznaczyli organizatorzy — okiem dziecka spojrzeć na bogactwo duchowe i materialne naszego regionu”. Trzeba usilnie dziś pracować nad tym, by przyszłe pokolenia chciały i umiały dorzucić coś do tego bogactwa. ■

KASZĘBSKŌ BIBLĚJŌ — IV EWANJELJE

Kaszębskŏ BiblĚjŏ, Nowi Testament. IV Ewanjelje. Z łacnĕ przełożł na kaszębszczi jȧzĕk ks. Franciszek Grucza. Hlondianum, Poznań 1992.

Zygmunt Szultka

„Bogŏ na chwałȧ, bratŏm Kaszĕbŏm na pŏżĕtk, »jako dĕsznŏ kŏrma«” ukazała siĕ „Kaszębskŏ BiblĚjŏ” w przekładzie ks. prałata Franciszka Gruczy. Trudno na gorȧco oceŕniać dzieło, bĕdȧce owocem dziesięciu lat benedyktyŕskiej pracy. Nie chciałbym niedoceniać, ale teŕ przeceniać faktu edycji kaszubskiego tłumaczenia Nowego Testamentu. Można wszak stwierdzić, ŕe przyszłość pokaŕze znaczenie tego faktu dla rozwoju języka kaszubskiego, pogłĕbienia kultury religijnej oraz świadomości społeczności kaszubskiej. Przyszłość mierzona nie tyle latami, ale dekadami i pokoleniami. Jedno jest pewne — w przekładzie części Pisma świętego na swój język macierzysty, Kaszubi otrzymali spiżowȧ tarcȕ obronnȧ swej mowy i toŕsamości etniczno-językowej oraz najlepsze ze wszystkich narzędzie dalszego, dynamiczniejszego niŕ dotȧd rozwoju. Od nich samych zaleŕży, jak moŕliwości te wykorzystaȧ.

Dzieje narodŕw słowiaŕskich śród-kowo-wschodniej Europy oraz ludŕw bałtyjskich wykazujȧ, iŕ wiele z nich poczȧtki swego piśmiennictwa narodowego wiȧŕze i zawdziĕcza wlaŕnie przekładowi i edycji w ich językach narodowych Małego katechizmu Marcina Lutra oraz Biblii, lub niekiedy tylko Nowego Testamentu. Przekład tych najwaŕniejszych dla chrześcijaŕstwa ksiȧg religijnych w językach macierzystych był dla poszczĕgŕlnych narodŕw lub grup etnicznych wydarzeniem historycznym, a niekiedy wrĕcz epokowym, nie tylko w zakresie religijności, języka czy szeroko pojętej kultury. Zawsze bowiem miał ogrom-

ne znaczenie dla rozwoju świadomości. Niekiedy był czynnikiem decydującym o zachowaniu odrĕbności i toŕsamości etniczno-językowej oraz o przetrwaniu.

Za sprawȧ dr. medycyny Floriana Ceynowy język kaszubski juŕ od ponad sto trzydzieści lat jest językiem pisanym. Ewangelicy Kaszubi Pomorza Zachodniego zawdziĕczajȧ mu teŕ pierwszy kaszubski przekład Małego katechizmu M. Lutra, który ukazał siĕ drukiem w 1861 roku pt. „Pinc głŕwnech oddȧzŕłŕw ewangelicznego katechizmu”.

Kaszubi nie mieli dotȧd „swej” „Kaszębszczi BiblĚji”, lukȕ teŕ wypełnia przekład ks. prałata F. Gruczy. W ten sposób język kaszubski znalazł siĕ w długim, bo liczącym około 1500 etnolektŕw, szeregu językŕw „świętych”. Juŕ z tego tylko powodu fakt ukazania siĕ „kaszubskiej” Biblii zasługuje na największȧ uwagȕ. Przeciĕnie ujął to w swoim „imprimatur” ks. bp Tadeusz Gŕcłowski pisząc: „W ten sposób ten piĕkny język, który zawiera w sobie tak wielkie bogactwo kulturowe, przestaje być tylko językiem codzienności. Staje siĕ noŕnikiem równieŕ Boŕej prawdy”.

„Kaszębskŏ BiblĚjŏ” jest tłumaczeniem z języka łaciŕskiego „Novum Testamentus Evangelia IV” wydane-go w 1970 roku. Zasadniczȧ część jej zawartości stanowiȧ Ewangelie św. św. Mateusza, Marka, Łukasza i Jana. Tekst kaŕdego Ewangelisty poprzedza wstĕp, zaŕ koŕczy bardzo oszczĕdny komentarz. Nie oŕmielam siĕ oceniać samego przekładu, dlatego przytoczȕ opiniȕ na ten temat ks. bpa Jana Szłagi: „Na temat języka przekładu kompetentnie wypowiedział siĕ prof. Drzeŕdŕon z Uniwersytetu Gdaŕskiego, bardzo wysoko oceniajȧcy zarŕwno słownictwo, jak i skłȧd niĕ kaszubskȧ. Osobiŕście odnoszȕ wrażenie, ŕe o szczegŕlnym piĕtnie i piĕknie języka tego przekładu zadecydowała umiejĕtna archaizacja kaszubszczyzny. W przekładzie ks. Gruczy, według mego rozeznania, jest ona wiarygodna. Pod wzglĕdem teologicznym jest poprawny, a archaizowany język dodaje mu wyjątkowego dostŕojstwa, którym powinien siĕ charakteryzować przekład Biblii i sam język biblijny”. Z tym wiĕkszym zaŕinteresowaniem oczekiwać naleŕży edycji „kaszubskiej” Biblii — całego Nowego Testamentu w tłumaczeniu Eugeniusza Gołȧbka, opartym na innych zasadach pisowni i gramatyki kaszubskiej oraz słownictwie wziętym z żywej mowy Kaszubŕw, która ujrȧ światło dzienne jeszcze w tym roku.

Teksty Ewangelistŕw poprzedzajȧ „imprimatur” wspomnianych biskupŕw, „przedesłŕw” i krŕtkie słowo wstĕpne na temat Pisma świętego piŕra tłumacza, zaŕ zamykajȧ jego uwagi odnoŕnie wymowy i pisowni oraz małeŕki słowniczek kaszubsko-polski wybranych wyrazŕw, wreszcie słowo „od redakcji” i spis treŕci. ■

Ewa Siatkowska, **Rodzina językŕw zachodniosłowiaŕskich. Zarys historyczny.** PWN 1992

Marek Cybulski

Ksiȧzka Ewy Siatkowskiej „Rodzina językŕw zachodniosłowiaŕskich. Zarys historyczny” wyszła w tej samej serii, co wartoŕciowa ksiȧzka H. Popowskiej—Taborskiej „Kaszubszczyzna” i E. Rzetelskiej-Feleszko „Pomorze Zachodnie”. Ksiȧzka to waŕna, potrzebna i chyba pierwsza tego typu na naszym rynku wydawniczym. W szkołach przecieŕ uczyliŕmy siĕ i uczymy historii językŕw, literatur i kultur narodŕw dominujȧcych w Europie (Niemiec, Francji, Anglii i Rosji) oraz USA. Tymczasem obok nas rozwijajȧ siĕ, mniej lub bardziej harmonijnie, kultury naszych najbliŕszych krewnych, innych narodŕw zachodniosłowiaŕskich.

Ewa Siatkowska przyjąłȧ w swej ksiȧzce konwencjȕ „rodzinna”. W rozdziale zatytułowanym „Nasz rodowŕd” scharakteryzowała pokrŕtce języki słowiaŕskie jako całość (podrozdziały: „Pradziadowie—wspólnota praindoeuropejska i jej rozpad”, „Pradziadowie—wspólnota bałtosłowiaŕska”, „Dziadowie, czyli Prasłowianie” Wĕdrŕwki Prasłowian i co z tego wynikłŕ”). W dwu ostatnich podrozdziałach omawia „Dalszych krewnych — języki wschodnio—i południowo-słowiaŕskie” oraz „Najbliŕszych krewnych z grupy zachodniosłowiaŕskiej”.

W rozdziale II autorka omŕwiła najstarszy literacki język Słowian, tj. staro—cerkiewno—słowiaŕski, a takŕe pozostałości obrȧdki słowiaŕskiej w Czechach i w Polsce.

Rozdziały III–VI poŕwiĕcone sȧ historii piśmiennictwa i rozwojowi wszystkich językŕw zachodniosłowiaŕskich w porȧdku chronologicznym. Poŕługujȧc siĕ konwencjȕ „rodzinna” autorka pisze o „narodzinach, niemŕwłĕctwie, młodoŕci i osiȧgniĕciu dojrzałŕci” poszczĕgŕlnych językŕw. W tej wĕdrŕwce przez dzieje najwiĕcej uwagi poŕwiĕca językowi czeskiemu i polskiemu, te bowiem języki najwcześniej rozwinęły swȧ postać literackȧ. Juŕ jednak w rozdziale IV „Poŕar reformacji i złŕte czasy humanizmu” zaczyna siĕ mŕwić o językach łuŕycznych („Łuŕyce w ogniu reformacji”), kaszubszczyŕnie („Reformacja po ka-

DUSZPASTERZ I BADACZ DZIEJÓW

Jan Walkusz, Ks. Władysław Szulist
w służbie duszpasterstwa i historii. 35
lat twórczości naukowo-publicystycznej.
Lublin 1992

Edward Breza

Ks. dr Jan Walkusz, redaktor naczelny Encyklopedii katolickiej, przygotował w całości, tj. napisał, zaopatrzył w ciekawe i interesujące zdjęcia, wystąpił w roli redaktora technicznego i korektora oraz projektanta okładki, książeczkę o osiągnięciach ks. Władysława Szulista, swojego proboszcza w rodzinnej parafii Mściszewice pod Sulęcymem w Kartuskiem. Publikację, która wyszła w Lublinie, dedykował rodzicom ks. Szulista: Elżbiecie i Pawłowi Szulistom. Przedmowa ks. Walkusza, napisana piękną polszczyzną, może zachęcać każdego do pracy nie tylko zawodowej, ale także naukowej, publicystycznej i społecznej. Następnie zaprezentował autor rodów rodziny ks. Szulista z podkościerskiego Skorzewa i Gostomka pod Lipuszem w Kościerskiem, kolejne etapy kształcenia, od rodzinnego Gostomka do Wyższego Seminarium Duchownego w Pelplinie i KUL-u, gdzie zdobył magisterium, i pracy duszpasterskiej, od wikariuszostwa w Wielkim Czystem w Chelmińskim, poprzez Konarzyny w Chojnickim, Mały Kack, Chwaszczyno, Golub i Wejherowo, do probostwa w Mściszewicach i w Matarni. Osobne miejsce zajmuje omówienie wielotematycznej pracy publicystycznej i naukowej (od monograficznych i szkicowych ujęć historii niektórych miejscowości, np. Swonegacie, Lipusz, Gdynia), poprzez archiwoznawstwo, opis dawnych szlaków handlowo-komunikacyjnych, historiografię pomorską, Polonię kaszubską, eksterminację kapłanów pomorskich w ostatniej wojnie, opis sanktuariów kaszubskich w Swarzewie i Sianowie, biografii wielu Pomorzan (np. ks. B.

szubsku") i języku słowackim („Zanim narodził się słowacki język ogólnonarodowy”). W rozdziale V, poświęconym wiekom XVII i XVIII ostatni podrozdział „Dlaczego Drzewianie połabscy nie mieli ogólnonarodowego języka?” mówi o trudnej sytuacji tego ludu przed jego ostatecznym niemieczeniem w XVIII w. Rozdział VI — „Osiągnięcie dojrzałości przez literackie języki zachodniosłowiańskie” — kończy omówienie dziejów tych języków. Historię polszczyzny zamyka autorka na oświeceniu, uznając że choć „historia języka nie kończy się nigdy”, „polszczyzna w okresie oświecenia osiągnęła pierwszy etap swojej dojrzałości, znajdując się na tym stopniu rozwoju, na którym inne języki zachodniosłowiańskie były dopiero w wieku XIX, a nawet XX” s. 261-262. Czytelników „Pomeranii” zainteresuje zapewne ostatni podrozdział — „Próba tworzenia języka literackiego na Kaszubach”.

Rozdział ostatni — „Różne drogi rozwoju języków zachodniosłowiańskich” — jest podsumowaniem dziejów tych języków. Autorka zamieszcza tu ciekawą tabelkę, porównującą narodziny, wzloty i upadki języków rodzinnych zachodniosłowiańskich. Na końcu opracowania znajduje się wykaz skrótów i bibliografia, w której obok opracowań, poświęconych językom słowiańskim i zachodniosłowiańskim umieszczono tytuły prac zajmujących się poszczególnymi językami z osobna. Książkę zamyka streszczenie w języku angielskim, indeksy: osób, tytułów dzieł animowanych, oraz „zjawisk i procesów wzbogacających lub utrwalających normę języka literackiego”, spis map i ilustracji.

Książka jest pisana językiem żywym i zajmującym. Większość zagadnień autorka, jako wybitna znawczyni języka czeskiego, zna z własnych badań. Do niektórych sformułowań można mieć jednak pewne uwagi. Brzmia one bowiem nie najszcześliwiej. Np. „spory religijne toczone między protestantami i kalwinami” (s. 218) — kalwini to też protestanci, tylko inny odłam niż np. luteranie, albo „ksiądz katolicki, a nawet kanonik, Józef Ignacy Bajza” (s. 287). Zaskoczenie może budzić również wyraźne deprecjonowanie przez autorkę kultury ludowej „niski był przecież poziom umysłowy tej ludności w przeważającej większości wiejskiej” (s. 150—151) — chodzi o Kaszubów, czy „Rozproszony po wsiach, niewykształcony lud łużycki” (s. 313).

E. Siatkowska pisząc o Tczewie podaje teorię o pruskim pochodzeniu nazwy tego miasta, nie wspomina zaś o bardzo powszechnej opinii, że jest to nazwa rodzima, od zbiorowego rzeczownika trscie — „trzcina, sitowie”, co ma swoje uzasadnienie topograficzne. Do zdania „autor pierwszego słownika kaszubszczyzny Stefan Ramult” (s. 144), należałoby chyba dodać „pierwszego obszernego słownika”, ponieważ słowniki mniejsze ukazywały się przed słownikiem Ramulta. Pisząc o Pomorzu stwierdza, iż „Związek z Polską umocniła chrystianizacja tych ziem i utworzenie w r. 1176 biskupstwa polskiego” (s. 145). Chodzi tu o biskupstwo kujawskie. A przecież wcześniej, w 1000 roku powstało biskupstwo w Kołobrzegu, podległe metropolii gnieźnieńskiej; związki z państwem Piastów zaczęły się zatem nie wtedy. Zajmując się reformacją na Pomorzu E. Siatkowska pisze: „Pomorze Gdańskie pozostało katolickie. Podlegało arcybiskupstwu gnieźnieńskiemu i biskupstwu włocławskiemu. Do diecezji gnieźnieńskiej należały też słowiańskie (powinno być: słowińskie) Smołdzino i Gardno z dzisiejszego powiatu Słupsk. Działo tu duchowieństwo z Wielkopolski” (s. 146). Nie miało to już wtedy, w XVI i XVII w., żadnego znaczenia. Kraina Słowińców (m.in. Smołdzino i Gardno) była protestancka (luterkańska) i duchowieństwo nie przyjeżdżało tam z katolickiej Wielkopolski, lecz zapewne ze Słupska, siedziby synodu. Stamtąd pochodził M. Mostnik, pracujący w XVII w. w Smołdzinie, jeden z twórców najstarszej literatury kaszubskiej, o którym zresztą Siatkowska pisze dalej. Omawiając piśmiennictwo łużyckie autorka podaje: „Podobnie jak na Kaszubach były to głównie tłumaczenia Biblii” (s. 157). Tymczasem na Kaszubach przekładano religijne teksty Lutra, układano katechizmy, lecz nie tłumaczono Pisma św. Zapewne posługiwano się tłumaczeniami polskimi.

Na pytanie o powstanie kaszubskiego języka literackiego autorka odpowiada przecząco. „Utwory literackie pisane są autentyczną kaszubszczyzną, ale różnymi jej odmianami” i mimo prób ujednolicenia piśmiennictwa kaszubskiego „żadna z współczesnych gwar kaszubskich nie ma cech predestynujących ją na wzorzec językowy, czy to ze względu na specjalny prestiż danego regionu, czy ze względu na prestiż autora bądź dzieła powstałego w danej gwarze” (s. 340). Siatkowska niezupełnie ma tu rację. Owszem, są twórcy piszący w swej gwarze, lecz faktem jest powstanie kaszubskiego języka literackiego.

Mimo tych, nie najistotniejszych przecież, uwag polecam lekturę książki Ewy Siatkowskiej. Pomoże ona wszystkim zainteresowanym dziejami języka i literatury w zrozumieniu kultury blisko spokrewnionych ze sobą ludów, a dla miłośnika naszego regionu zapewne interesujące będzie spojrzenie na literaturę kaszubską na tle innych historii i literatur zachodniosłowiańskich. ■

Sychta, ks. B. Domański, ks. J. Wrycza), do recenzji wielu prac. Publikację zamyka chronologiczna bibliografia prac ks. W. Szulista, obejmująca 169 pozycji. Trzeba tu dodać mozolnie opracowane historie gromad byłego pow. kościerskiego, które jednak w czasach urzędowego laickiego totalitaryzmu ukazać się nie mogły. Autor bowiem za źródłami kościelnymi podawał, ile w danej wsi w XVIII i XIX wieku było katolików (Polaków) i ewangelików (Niemców), czego przepuścić nie mogła ówczesna cenzura ze względu na rzekomy klerykalizm ujęcia. Z opracowań tych korzystałem, pisząc „Toponimie powiatu kościerskiego” (Gdańsk 1974).

Po przedstawieniu zawartości tomiku czas na kilka refleksji. Na ukształtowanie osobowości ks. Szulista szczególny wpływ mieli nauczyciele: polonistka i kierownik szkoły w Lipuszu, ks. Władysław Mówka w Seminarium Franciszkańskim w Wejherowie, Stefan Bieszk w Collegium Marianum, wreszcie księża profesorowie: Bernard Sychta i Józef Grochowski w Seminarium Pelplińskim. Tak to każdemu w pamięci zostają nazwiska nauczycieli, na wzór których próbowało się kształtować własną osobowość. Nauczycieli wyróżniających się poziomem swego zawodu i powołaniem, stających się wzorcami osobowymi dla uczniów.

Miał ks. Szulist szczęście, że wśród parafian mściszewskich znalazł w osobie Jana Walkusza adepta teologii, który wyrósł na ambitnego duszpasterza, subtelnego poetę i wnikliwego badacza historyka i socjologa. Przygotowana książeczka o ks. Szulist jest pięknym darem wdzięczności wychowanka dla wychowawcy.

Lektura publikacji wciąga, nie dostrzega się w niej potknięć. Pragnę tylko sprostować nazwisko polonistki ks. Szulista z Lipusza, która była i moją nauczycielką języka polskiego w kl. VII w Lipuszu. Nazywała się Jadwiga Chrzan (nie jak podano na s. 14, Chrzanowska), tytułowana Chrzanową, a przez uczniów nazywana Chrzaną. Wolalbym też czytać o Skorzewie pod Kościerzyną, Zaworach pod Chmielnem (s. 9), Łączynie pod Wygodą (s. 11) i Matarni pod Gdańskiem (s. 26), niż germanistycznie koło oraz o wsi Łubiana nie Lubiana (s. 9).

KŁĘKA

JÓZEF BUDZISZ NIE ŻYJE

Spółeczność zrzeszona ziemi puckiej z żalem pożegnała 15 lipca 1992 roku kolegę Józefa Budzisz. Przeżył 83 lata, zmarł 11 lipca 1992 roku. Był nestorem zasłużonej rodziny puckiej Budziszów, znanej ze swych tradycji rybackich, a także z wiernej służby naszemu miastu i ziemi kaszubskiej.

Józef Budzisz jako 11-letni chłopiec był świadkiem Zaślubin Polski z Morzem w Pucku 10 lutego 1920 roku. Mając 15 lat, po śmierci ojca Antoniego, rozpoczął życie rybaka morskiego. Lubił ten fach i znał się na nim świetnie. Ale życia swego nie ograniczył tylko do pracy na morzu. Interesowało go wszystko, co z morzem jest związane. Obdarzony wrażliwością ratował to wszystko, co mogło bezpowrotnie zginąć. Zbierał okazy fauny i flory morskiej oraz eksponaty pracy rybaków morskich. Okazały zbiór przekształcił w 1959 roku w Prywatne Muzeum Rybackie. Przez 33 lata służył swoją wiedzą o morzu, rybołówstwie i o Kaszubach tym wszystkim, którzy zawitali w progi jego muzeum.

Józef Budzisz był długoletnim członkiem Oddziału Puckiego ZK-P. Przez kilka kadencji był aktywnym członkiem Zarządu Oddziału. Inspirował życie kulturalno-towarzyskie. Pomagał w organizacji pierwszych pielgrzymek łodziowych rybaków morskich na doroczne odpusty Świętych Apostołów Piotra i Pawła. Dopilnował, by słupek upamiętniający akt zaślubin, postawiony w porcie rybackim w 1980 roku, odpowiadał wiernie ustawionemu sześćdziesiąt lat wcześniej. Dopóki był fizycznie sprawny opiekował się nim i powiewającą na nim flagą. Wielokrotnie akcentował konieczność pielęgnowania języka kaszubskiego i posługiwania się nim na co dzień. Był z nami do końca swych dni. Na zebraniach Zarządu Oddziału służył swoim doświadczeniem i radą.

W ostatniej drodze Józefowi Budziszowi towarzyszyły sztandary Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego i Oddziału Puckiego. Słowo pożegnalne wygłosił prezes Oddziału w Pucku Stanisław Cygiert, przekazując również wyrazy współczucia rodzinie zmarłego od prezesa ZG Józefa Borzyszkowskiego.

Stanisław Cygiert



Fot. Z. Grabowiecki

PIELGRZYMKA ŁODZIOWA RYBAKÓW

Tegoroczne uroczystości związane z odpustem św. św. Apostołów Piotra i Pawła oraz z XII pielgrzymką łodziową rybaków (niedziela 28 czerwca) zgromadziły w Kuźnicy i w Pucku tłumy mieszkańców ziemi puckiej i gości.

Po mszy św. w kuźnickim kościele udano się w procesji do przystani, stąd ruszyła do Pucka łodziowa pielgrzymka. Na wodzie znalazło się blisko 60 łodzi motorowych i żaglowych, małych i dużych kutrów, motorówek z Kuźnicy, Chałup, Helu, Jastarni i Władysławowa, a na nich ok. 600 pielgrzymów. Na wysokości Rzućewa wszystkie jednostki skupiły się i zatrzymały. Dołączyły do nich łodzie z Pucka i Swarzewa. Na nich m.in. przybyli ks. biskup Zygmunt Pawłowicz, reprezentanci władz Pucka, ks. dziekan Jan Felski. Kierownik pielgrzymki, ks. Gerard Markowski, powitał ks. biskupa. Następnie modlono się za rybaków, marynarzy i członków ich rodzin. Uczczono chwilą zadumy i refleksji tych, których zabrało morze.

Po tym modlitewnym spotkaniu kawałkada łodzi (teraz już w liczbie ponad 70 z ok. 700 ludźmi na pokładzie) popłynęła do Pucka. W puckiej farze o godz. 14.00 została odprawiona uroczysta msza św. pod przewodnictwem ks. biskupa Z. Pawłowicza, który także wygłosił homilię. Lekcje czytali: marynarz po polsku i ministrant po kaszubsku, modlitwę wiernych po kaszubsku Zygmunt Orzeł. W czasie mszy św. śpiewał chór pod kierownictwem Franciszka Rycherta; uczestniczyły w niej poczty sztandarowe oddziałów ZK-P z Rumi, Wejherowa i Pucka. Po mszy św. podziękowanie ks. biskupowi i puckim gospodarzom złożył w imieniu pielgrzymów Brunon Konkel z Kuźnicy.

Pielgrzymka była i w tym roku wspaniała. Pielgrzymi w doskonałych nastrojach popłynęli do swoich domów.

Józef Zygmuntowicz

LATEM W RUMI

Każdego roku w okresie letnim oddział ZK-P w Rumi organizuje wycieczki do różnych zakątków ziemi kaszubskiej. Tym razem 21 czerwca zwiedzaliśmy zachodnie rejony Kaszub. Obejrzeliśmy zamek krzyżacki w Bytowie i wystawę kaszubskich zbiorów regionalnych. Następnie uczestniczyliśmy w mszy św. w kościele grecko-katolickim pw. św. Jerzego. Kolejnym etapem wycieczki było Plotowo. Tu zwiedziliśmy muzeum szkolne usytuowane w przedwojennej polskiej szkole. W latach trzydziestych uczęszczały do niej dzieci kaszub-

skie z okolicznych wiosek. Na trasie wycieczki znajdował się również Jasień, gdzie obejrzeliśmy stary kościółek kryty strzechą.

Natomiast 28 czerwca kilkanaście osób z Rumi, wraz z pocztęm sztandarowym, wzięło udział w Pielgrzymce Rybackiej na odpust św. św. Piotra i Pawła w Pucku. Wypłynęliśmy z Jastarni na kutrze JAS-39. W Pucku uczestniczyliśmy w mszy św. odpustowej.

J.L.

WYSTAWA KLUBU „MIKOŁAJEK NADMORSKI”

4 lipca w siedzibie puckiego Zrzeszenia przy ul. Judyckiego 2 otwarta została wystawa przygotowana przez hufciarki z Klubu „Mikołajek Nadmorski”. Serwety, obrusy, makatki, obrazki, krawaty są znakomite. Mieszkańcy Pucka i wczasowicze mogą nie tylko obejrzeć wystawę, ale także niektóre rzeczy kupić.

Paniom z klubu „Mikołajek Nadmorski” wypada życzyć kolejnych tak udanych wystaw.

J.Z.

WYSTAWA W SWORNEGACIACH

Biblioteka Publiczna w Swornegaciach i Człuchowski Oddział Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego pomogły mi w zorganizowaniu kolejnej wystawy moich obrazów, tym razem w Swornegaciach. Dzięki uprzejmości księdza proboszcza Benedykta Gierszewskiego wystawę urządzono w salce katechetycznej, gdzie zgromadzono ok. 40 akwarel, 12 obrazów olejnych oraz kilkanaście szkiców i rysunków. Tematyka prac obejmuje pejzaże, kwiaty, portrety i martwą naturę.

Oddział ZK-P w Człuchowie wydał katalog wystawy. Otwarcie odbyło się 3 lipca 1992 r., kilka słów o prezentowanych pracach powiedziała kierownik Biblioteki Publicznej i Domu Kultury w Swornegaciach, Donata Gierszewska. Była okazja do rozmów i wspomnień. Szczególnie lata sześćdziesiąte wspominali moi nauczyciele i wychowawcy — Lilia i Paweł Trapowie oraz Róża Borzyszkowska. Spotkanie uświetnił swoimi opowiadaniem w języku kaszubskim ks. B. Gierszewski.

Szczerze słowa uznania i gratulacje były dla mnie mocno wzruszające. Dzień wcześniej wystawę zwiedził prezes Oddziału ZK-P w Człuchowie, Marian Fryda z rodziną.

Przy okazji chciałbym serdecznie podziękować za pomoc w przygotowaniu tej wystawy kol. Donacie Gierszewskiej, Piotrowi Tyborskiemu oraz

Oddziałowi ZK-P w Człuchowie za wydrukowanie katalogu.

Jan B. Jakubowski

II ZJAZD SPICZAK BRZEZIŃSKICH

Oddział Człuchowski ZK-P i Rada Spiczaków zorganizowały w dniach 25-26 lipca 1992 r. II Zjazd Spiczak Brzezińskich. Spotkanie rozpoczęła uroczysta msza św. w kościele parafialnym w Borowym Młynie. Goście zjechali między innymi z Gdyni, Stargardu Szczecińskiego i Grudziądza. Do pamiątkowego zdjęcia, na schodach kościoła stanęło około stu osób. Po mszy św., którą sprawował ks. proboszcz M. Huzarek, wszyscy udali się na cmentarz parafialny, gdzie spoczywał Józef Spiczak Brzeziński z Upilki, którego dwudziesta rocznica śmierci minęła 22 lipca. Na licznych rodzinnych grobach złożyono kwiaty i zapalono znicze. Następnie cała kawałkada samochodów pojechała do oddalonego o kilkanaście kilometrów miejsca wspólnego biwaku. Na uroczej leśnej polanie nad Brdą pojawiły się liczne namioty. Przy niewielkim ognisku, tuż przy wodzie (susza), skupiła się wkrótce większa część uczestników zjazdu. Do późnego wieczora trwały rozmowy i oczywiście śpiewy. Dzielnie sprawiła się także rodzinna orkiestra, której przewodził na skrzypcach jeden z seniorów, Leon Rybarczyk z Dusocina. Korzystano ze śpiewników, wydanych specjalnie na tę okazję. Z okazji zjazdu Oddział ZK-P w Człuchowie wydał kasety z nagraniem wspomnień Józefa Spiczaka Brzezińskiego (1883-1972).

Rankiem przenikliwy krzyk żurawi, zerujących na pobliskiej łące, zbudził wszystkich, jakby przypominając, że czas powoli zbierać się do odjazdu. Jeszcze tylko wspólne śniadanie, ostatnie zdjęcia i zapewnienie: do zobaczenia na III zjeździe.

(K.M.F.)

ZASŁUŻENI DLA GDAŃSKA

Taki tytuł nosi wystawa w Ratuszu Głównomiejskim, dokumentująca niegdyśszą rolę tego miasta, jednej z artystycznych, naukowych, lecz nade wszystko municypalnych stolic świata. Prawda o tym mieście ukazana została przez pryzmat jego wybitnych osobowości.

Na początek galeria portretów wybitnych burmistrzów: Jana Lindego (za jego rządów powstała gdańska Zbrojownia, Ratusz Staromiejski, Złota Brama, jego zasługą jest przebudowa miasta na styl renesansowy), Konstantina Ferbera, Bartłomieja Schachmanna (wystrój Sali Czerwonej Ratusza Głównomiejskiego), Mikołaja Pahla, Nataniela Schmiedena,

Mikołaja Bodecke, Daniela Proite, Krystiana Schrodera, Gabriela Schumana, Andrzeja Borchmanna czy wreszcie Joachima Hoppe. Nazwiska ich tkwiły w odmetach historii. Rządco były przypominane w Polsce powojennej. Zasiadały wszak o innej rzeczywistości historycznej. O stopniu złożoności spraw tego miasta.

Portrety królów polskich: Stanisława Leszczyńskiego i Jana III Sobieskiego. I portret ostatniego burmistrza polskiego Gdańska — Jana Bentzmanna.

Miało to miasto wielonarodowościowe, wielowyznaniowe i wielokulturowe, w którym mieszały się wpływy europejskiego wschodu i zachodu, południa i północy, czynników lądowych z morskimi, miało szczególnie do wielkich malarzy i rytowników. Takich jak Izaak van den Block (strop Sali Czerwonej Ratusza Głównomijskiego, Sala Zimowa, obrazy w Sali Kamlarni), jak Adolf Boy (cykl Sybilli Ratusza Staromiejskiego, bramy triumfalne), jak Daniel Dürens, Łukasz Evert, Antoni Möller czy Wilhelm Hondiusz oraz Mateusz Deisch.

Byli w dziejach tego miasta badacze różnych dziedzin. W jednej osobie botanik, fizyk i meteorolog Gotfryd Reyger, botanik Breynre, lekarz i założyciel prywatnego muzeum w Gdańsku („Gotwaldianum”) Krzysztof Gottwaldt. Współtwórca pierwszej w Polsce farmakopei (wykaz leków wraz z recepturą) Jan Schmidt. Z tego miasta byli też astronomowie Wilhelm Miscanus, Nataniel Wolf oraz Wawrzyniec Eichstadt, w jednej osobie farmakolog, lekarz oraz fizyk. Z Gdańska byli też historycy prawa polskiego Jan Nixdorf i prawnik Joachim Pasorius.

I muzycy... Organista z Kościoła Mariackiego nazywał się Paweł Seifert, kapelmistrz Kościoła Mariackiego, kompozytor oper, kantat i sonetów Marcin Gremboszewski.

Z tego miasta byli Jan oraz Piotr Uphagenowie. Biblioteka Uphagena w roku 1879 weszła w skład Biblioteki Gdańskiej.

Proboszczem w Kościele Mariackim był Jan Dantyszek, autor „Pieśni”. Po ulicach Gdańska przechadzali się filozof Artur Schopenhauer i autor skali temperaturowej, fizyk Gabriel Daniel Fahrenheit.

Wystawa w Ratuszu Głównomijskim zamyka się w przedziale czasowym od XVI do XVIII stulecia. Były to wieki niewątpliwie wspaniałości tego miasta-państwa. Miasta-schronienia. Miasta-zarzewia twórczego. Miasta handlu o światowej skali.

Ryszard Ciemiński

BIAŁORUSINI W „POMERANII”

Redakcja „Pomeranii” gościła 16 lipca grupę Białorusinów, pragnących

poznać dzieje Kaszubów i aktualną sytuację społeczną na Kaszubach. W skład białoruskiej delegacji wchodził między innymi: Lewon Barszczewski, deputowany do parlamentu Republiki Białoruś oraz Uładzimir Kolas, dyrektor Białoruskiego Humanistycznego Centrum Edukacyjno-Kulturalnego i jednocześnie liceum białoruskiego, działającego przy tymże centrum. Ostatni z wymienionych, z zawodu reżyser, wraz z towarzyszącym mu kamerzystą sfilmował rozmowę dla telewizji białoruskiej.

Białorusini zainteresowani byli głównie stanem świadomości etnicznej Kaszubów, a także rolą inteligencji w procesie ożywienia kulturalnego naszej społeczności. Pytali również o sprawy związane z finansowaniem inicjatyw kulturalnych i różnych form działalności Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego.

Rozmowa stała się okazją do podziękowania za wydaną w 1980 roku książkę „Za daliagajadam kraj stolemaj”, białoruską antologię poezji kaszubskiej Alesia Trojanowskiego.

(s.j.)

BIBLIOTEKI PUBLICZNO-SZKOLNE

Już przed kilkoma laty w województwie olsztyńskim kilkanaście bibliotek gminnych lub ich filii mieściło się w budynkach szkół — w pomieszczeniach bibliotek szkolnych lub w osobnych salach. Podobne są w województwie gdańskim: w Gniewinie, w Starych Polaszkach i w Wiślinie. Biblioteki te mają tylko wspólne lokale. Natomiast kadrowo i finansowo są placówkami odrębnymi.

Dopiero obecnie, gdy biblioteki i szkoły finansują gminy, powstaje pierwsza prawdziwa zintegrowana biblioteka publiczno-szkolna. Władze gminy Steżycy uznały, że prowadzenie jednej biblioteki w Klubowej Hucie, służącej zarówno dzieciom szkolnym, młodzieży i dorosłym mieszkańcom wsi i okolicznych przysiółków, będzie mniej kosztować, a i wyniki pracy mogą okazać się lepsze.

W nowym budynku szkolnym przeznaczono dla biblioteki 141 m kw. powierzchni na wypożyczalnię książek dla dzieci, młodzieży i dla dorosłych oraz na kącik-czytelnię. Na wyposażenie placówki Urząd Gminy wyasygnował 22 mln., a Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Gdańsku przekazała 1600 książek bezpłatnie i 1600 za symboliczną opłatą.

W wielu miejscowościach likwiduje się biblioteki publiczne lub przenosi do gorszych lokali (np. w Bukowcu Pomorskim), albo też ogranicza się ich działalność. Podobnie jest z bibliotekami szkolnymi często prowadzonymi przez osoby niefachowe, traktujące to zajęcie tylko jako uzupełnienie

np. pracy w świetlicy szkolnej. Przeciwdziałać temu procesowi mogą właśnie biblioteki publiczno-szkolne.

Janusz Kowalski

WIEŚCI ZE STEPÓW EUPATORII

W Bachczyszeraju w salach haremu Pałacu Chanów Tatarskich rozbrzmiewała najczystsza kaszubszczyzna. Nie, nie popłynęła z ust turystów z Kaszub lecz tubylca! W Bachczyszeraju bowiem przewodnikiem wycieczek jest sławista, Aleksander Brońskij i on właśnie, Bóg raczy wiedzieć dlaczego, akurat wprost do mnie zwrócił się ze słowami: Wy w Polsce nie uznajecie języka kaszubskiego, twierdzicie, że to dialekt, tymczasem ja uczyłem się go na uniwersytecie na równi z językiem polskim, czeskim, słowackim... To jest język!

— Ale pan trafił — odrzekłam: I tu popłynął potok informacji o bojach jakie toczy i sukcesach jakie odnosi Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie w walce o upowszechnienie i nobilitację języka kaszubskiego na Pomorzu i w Polsce.

Gdzie można w dawnym Kraju Rad nauczyć się kaszubskiego? Na Krymie, w Symferopolu. Tak więc Kaszubi wybraawszy się na Krym mogą poprosić o przewodnictwo w języku kaszubskim, wystarczy uprzednio zwrócić się do p. A. Brońskiego: Bachczyszeraj 334410 ul. Frunzen 44 m 58.

Że daleko? Toż to wolna Ukraina! Że drogo! W najstarszym, po Rzymie — jak twierdzą tubylcy — mieście Europy — Eupatorii nie jest drogo, bo to kurort dla ubogich, ale także, powiedzmy, ciekawych świata (byliśmy tutaj pierwszymi Polakami; przez minione dziesięciolecie nie wpuszczano turystów).

Doprawdy wzruszające to będzie stanąć przed osławioną Fontanną Łez, przypomnieć sobie o niej sławetny poemat Aleksandra Puszkina, strofy sonetów Adama Mickiewicza uczczonych tą ziemią i usłyszeć o tym wszystkim w języku kaszubskim.

Felicia Borzyszkowska-Sękowska

SPROSTOWANIE

W numerze 6 „Pomeranii” podałem błędnie nazwisko autora „Ormiańskiej diaspory na Wybrzeżu” pana Mariusza Gizowskiego.

Błędnie podałem również nazwisko Marwiczów w tekście Andrzeja Lubińskiego „Gniazdo Bartkowskich”. Autorów oraz Czytelników przepraszamy

Redakcja

BIURA PARLAMENTARNE CZŁONKÓW ZK-P:

Senator **Józef Borzyszkowski**: Biuro Senatorskie ZK-P, 80-958 **Gdańsk**, ul. Okopowa 21-27 (UW), p. 138, tel. 37-76-30 i 31-46-49, pon.-piąt. 8-15, dyżur senatora: pon. 15-18;

Posel **Antoni Furtak**: Biuro Poselskie NSZZ RI „S”, 80-894 **Gdańsk**, ul. Elżbietańska 10-11, p. 220, tel. 31-49-03 pon.-piąt. 12-15, dyżur posła: pon. 10-12;

Posel **Jan Kulas**: Biuro Poselskie NSZZ „S”, 83-100 **Tczew**, ul. Podmurna 11, tel. 0-69/31-60-81, wt. i śr. 12-17;

Posel **Feliks Pieczka**: Biuro Poselskie ZChN, 80-850 **Gdańsk**, ul. Rajska 6 (NOT), p. 312, tel. 31-64-28, pon.-piąt. 12-16, dyżur posła: wt. 14-17;

Posłowie **Donald Tusk** i **Jarosław Ulatowski**: Biuro Poselskie KL-D, 80-835 **Gdańsk**, ul. Szeroka 121-122, II p., tel. 31-90-31, pon.-piąt. 9-16, dyżury posłów: pon. 14-18;

Posel **Jan Wyrowiński**: Biura Poselskie UD: 87-100 **Toruń**, Rynek Staromiejski 33-34/1, tel. 0-56/216-65, pon. 10-17, wt.-piąt. 8-14 i 86-300 **Grudziądz**, ul. Małomłyńska 1, tel. 0-51/244-79, pon.-piąt. 10-14.

Prosimy biura o zgłaszanie zmian powyższych informacji.

KASZUBSKIE MSZE ŚWIĘTE:

80-384 **Gdańsk-Przymorze**, ul. Zwycięzców 19, tel. 52-03-93, kościół pw. NMP Królowej Różańca Świętego, w pierwszy wtorek miesiąca, g. 19.15; odprawia ks. **Bogusław Głodowski**;

81-197 **Gdynia-Babie Doly**, ul. Rybaków 2A, tel. 25-43-88, kościół pw. MB Liseńskiej Bolesnej Królowej Polski, w ostatnią niedzielę miesiąca, g. 12.15; odprawia ks. **Edmund Skierka**.

Prosimy o podobne informacje z innych parafii na Kaszubach.

TELEWIZJA POLSKA, progr. II, nadaje pod redakcją Izabelli Trojanowskiej w co drugi piątek o godz. 18.30 z **Gdańska magazyn kaszubski** „Rodnô zemia”, a w nim m.in. kurs języka kaszubskiego „Gódómë po kaszëbsku”.

POLSKIE RADIO nadaje z **Gdańska** na fal 67,85 pod redakcją Dominika Sowy i Leszka Szmidtke w niedzielę o godz. 13 **magazyn kaszubski** „Na bôtach i w borach”. W nim Eugeniusz Pryczkowski omawia prasę kaszubską, Jerzy Samp wygłasza felietony „Kaszubi w literaturze”, a Zbigniew Jankowski czyta „Żécé i przigodë Remusa” Aleksandra Majkowskiego.

KASZUBSKIE MUZEA będą zamknięte 1 XI, a otwarte w pozostałe dni jak poniżej. Podano ceny biletów ulgowych i normalnych oraz wynagrodzenie przewodnika. Muzea, przy których nie ma godzin otwarcia, są otwierane na życzenie. Prosimy muzea o nadsyłanie zmian poniższych danych.

Będomin, 83-442 Nowy Barkoczyn, tel. 0-58/87-71-83, Hymnu Narodowego (5000, 10 000, 100 000 zł): wt.-sob. 9-15, niedz. 10-15;



77-100 **Bytów**, ul. Zamkowa 2, tel. 26-23, Zachodniokaszubskie (3000, 6000 zł): wt.-niedz. 10-15;

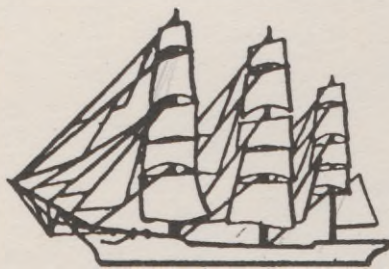
89-600 **Chojnice**, ul. Podmurna 1, tel. 0-531/43-92, Historyczno-Etnograficzne (2000, 4000 zł): wt. 11-17, śr.-piąt. 10-15, sob. 9-14, niedz. 9-13 i 89-661 **Silno**, Chata Kaszubska (ceny jw.): czw.-sob. jw.;



76-150 **Darłowo**, ul. Zamkowa 4, tel. 0-94/23-51 (3000, 5000, 40 000 zł): śr.-niedz. 10-16;

80-338 **Gdańsk-Oliwa**, ul. Opacka 12, tel. 52-12-71 do 73, w. 18 i 19, Etnograficzne (5000, 10 000, 100 000 zł): wt.-sob. 9-15, niedz. 10-15;

81-543 **Gdynia**, ul. Światowida 7, tel. 22-15-20, Zbiory księdza H. Jastaka;



84-150 **Hel**, Bulwar Nadmorski 2, tel. 75-05-52, Rybłówestwa (5000, 10000 zł): codz. 10-17.30;

84-140 **Jastarnia**, ul. Mickiewicza 115, tel. 75-22-45, Zbiorów Rybackich (prywatne, właściciel Juliusz Struck);

83-300 **Kartuzy**, ul. Kościarska 1, tel. 81-03-78, Kaszubskie (8000, 14000, 100 000 zł): wt.-sob. 8-16;

84-300 **Lębork**, ul. Młynarska 14-15, tel. 0-59/62-24-14 (2000, 3000 zł): wt.-czw. 10-17, piąt. i sob. 10-15, niedz. 9-14;

83-304 **Przodkowo**, ul. Kartuska 21, tel. 81-96-98, Strażacka Izba Pamięci (opiekunowie W. i L. Deykowie);

84-100 **Puck**, pl. Wolności 28, tel. 73-29-96 i ul. Wałowa 11, tel. 73-22-29, Ziemi Puckiej oraz **Nadole**, 84-253 Gniewino, tel. 76-76-44, Zagroda Gburska (2500, 5000, 25 000 zł): pon. oraz śr.-piąt. 9-12 i 14-17 sob. i niedz. 9-13;

84-100 **Puck**, ul. Morska 13, tel. 73-29-72, Małe Rybackie (prywatne, właściciel Józef Budzisz);

Rozewie, 84-120 Władysławowo, tel. 74-95-42, Latarnictwa (1500, 3000 zł);

76-200 **Słupsk**, ul. Dominikańska 5, tel. 0-59/240-81, Pomorza Środkowego i **Kłuki**, 76-214 Smołdzino, tel. 0-59/11-63-44, Skansen Słowiński (3000, 5000, 20 000 zł): śr.-niedz. 9-15;

76-214 **Smoldzino**, ul. Mostnika 3, tel. 0-59/11-62-04, Leśne Słowińskiego Parku Narodowego (3000, 5000 zł);

Stryśza Buda, 83-329 Mirachowo, tel. 81-56-95, Etnograficzne (prywatne, właściciel Franciszek Kowalewski);

89-500 **Tuchola**, ul. Podgórna 1, tel. 15-574/37-12, Borów Tucholskich (1500, 3000 zł): wt.-niedz. 10-15.30;

Wdzydze Kiszewskie, 83-406 Wąglikowice, tel. 0-58/86-12-88, Park Etnograficzny (8000, 15 000, 50 000 zł — język kaszubski lub polski, 80 000 zł — inne języki): wt.-niedz. 9-16;

84-200 **Wejherowo**, ul. Sobieskiego 239, tel. 72-29-56 (wystawy) i ul. Wałowa 14A, tel. 72-25-66 (czytelnia), Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej (500, 1000 zł): pon.-piąt. 8-15;

83-441 **Wiele**, DK, tel. 0-531-818/88-70, Ziemi Zaborskiej i Sztuki Kaszub (1000, 2000 zł): wt.-piąt. 11-15, sob. 14-16;

84-120 **Władysławowo**, ul. Morska 6, tel. 74-06-85, Nadmorskiego Parku Krajobrazowego (1000, 2000, 4000 zł) i J. Hallera (600, 1200, 4000 zł): pon. — piąt. 8-15, sob. 9-12;

83-330 **Żukowo**, ul. Klasztorna 18, tel. 81-82-42, Parafialne: śr. 16-18, sob. 9-12.

SKLEPIKI KASZUBSKIE, oferujące ● wydawnictwa o Kaszubach i Pomorzu po kaszubsku i po polsku ● kasety magnetofonowe z pieśniami i piosenkami kaszubskimi oraz inne muzykalia ● kaszubskie, kociewskie i borowiackie hafty i rzeźby ● porcelanę z ZPS „Lubiana”, są w muzeach w Kartuzach, we Wdzydzech Kiszewskich i w Wielu, w oddziałach ZK-P w Chojnicach, Lipuszu, Pucku i Wejherowie oraz w następujących miastach (kolejność według wielkości sklepiku):

80-834 **Gdańsk**, ul. Szewska 1-4 (ZK-P), tel. 31-32-35, pon.-piąt. 10-17;

77-100 **Bytów**, ul. Bauera 1A, stoisko w sklepie „Dewocjonalia-Hafciarstwo” I. i W. Machów, pon.-piąt. 10-17;

84-140 **Jastarnia**, ul. Ks. Stefańskiego 27, tel. 75-21-34, stoisko w sklepie „U Justyna”, pon.-piąt. 9-17, sob. 9-14;

84-100 **Puck**, pl. Wolności 33, tel. 73-27-95, stoisko w księgarni im. A. Abrahama, pon.-piąt. 9.30-18, sob. 9.30-14;

81-366 **Gdynia**, ul. 10 Lutego 2, stoisko w księgarni „Ex Libris” M. i A. Pisiaków, pon.-piąt. 10-19, sob. 11-15;

83-400 **Kościerzyna**, ul. Curie-Skłodowskiej 11, tel. 0-58/86-44-39, stoisko ZPS „Lubiana” w Rolniczym Domu Handlowym, pon.-piąt. 9-17, sob. 9-13;

Prosimy inne sklepiki kaszubskie o podobne informacje.

Kow.



KWIDZYN



Dwukrotnie w swych dziejach Kwidzyn stał wysoko w hierarchii miast pomorskich; po raz pierwszy w średniowieczu, gdy był stolicą biskupstwa pomezkańskiego. Wyniesienie to zawdzięczał Krzyżakom i ich niepokonanej żądzy zawładnięcia ziemią Prusów.

W momencie przybycia Krzyżaków cała Pomezania była już pokryta siecią parafii w wyniku działalności cysterskiego mnicha Chrystiana, któremu papież udzielił sakry i nadał tytuł biskupa pruskiego. Wpływy jego sięgały także do Pogezanii i Warmii, wiele zaś przemawia za tym, że działał pod protektoratem książąt pomorskich. Tak więc nie było powodu, aby ziemie te od nowa chrystianizowali Krzyżacy, ale jak wiemy, celem ostatecznym ich misyjnej akcji był podbój pogańskich terenów.

Najpierw, kierując ostrze ekspansji na północ wzdłuż Wisły, odcięli prawobrzeżne ziemie od pomorskiego zaplecza. W trakcie tej operacji na miejscu starej osady pruskiej założyli gród Kwidzyn (1233). Jednocześnie nie ustawali w staraniach o wyeliminowanie z gry Chrystiana i w krótkim czasie potwierdzili w Rzymie nowy podział Prus na diecezje pomezkańską, warmińską i sambijską, a biskupowi zbuzrzyli jego gród Zantyr.

Początkowo siedzibą biskupa Pomezanii był Dziergoń (Christburg), jednak już pierwsi biskupi zwrócili uwagę na Kwidzyn, jako miejsce bezpieczniejsze i dogodniejsze pod względem komunikacji. W 1254 roku do budowy katedry i obronnej rezydencji przystąpił biskup Ernest z Torgawy, dominikanin, jednakże czasy były wciąż niespokojne, Kwidzyn wraz z jego krzyżacką załogą stał się obiektem ataków wojennych na przemian ze strony Prusów i książąt pomorskich. W okresie spokojniejszym, w roku 1285 ostatecznie biskup Albert stawszy się właścicielem tych obszarów, ustanowił Kwidzyn swą stolicą.

Bez mała dwa i pół wieku losy miasta i biskupstwa były ściśle związane, co rzecz jasna zwyczajem ówczesnym musiało znaleźć odbicie w herbie. Nie są nam znane oficjalne symbole XIII-wiecznego Kwidzyna, archiwa nie przechowały żadnych pieczęci z tego czasu. Natomiast późniejsze pieczęcie zawierają atrybuty władzy pasterskiej i nauczycielskiej dostojnika kościelnego: infulę i pastorał. Znaki te dostatecznie jasno wyrażają przynależność Kwidzyna i jego rolę w życiu publicznym.

Z badań wynika, że równocześnie w użyciu były dwa nieco różniące się od siebie godła. Na jednym znajdowały się tylko obok siebie pastorał i infuła z dwiema wstęgami u dołu, na drugim zaś, poniżej infuły (bez wstąg), jeszcze czarny równoramienny krzyż. Stanowiło to oczywisty akcent, że Kwidzyn jest miastem biskupa w państwie Zakonu Krzyżackiego. W ciągu następnych stuleci ten herb z krzyżem utrwalił się i wreszcie ostał się jako jedyny.

Znaczenie miasta w państwie krzyżackim polegało również na jego potęgze obronnej; zamek kwidzyński był trudną do zdobycia twierdzą. Nade wszystko jednak uupowszechniała się jego funkcja kościelna i sława jako miejsca kultu religijnego.

Katedra, po zniszczeniach odbudowana przez biskupa Bernarda w pierwszej połowie wieku XIV, była po kościele NMP w Gdańsku drugą największą świątynią na prawo i lewobrzeżnym Pomorzu.

Szerokiego rozgłosu nabrał kościół ów za przyczyną świętej Doroty z pobliskich Mław, którą — jak piszą kronikarze — „tu roku 1393 w maju za zezwoleniem biskupim zamurowano w szczuplutkiej celi i po śmierci następnego 1394 roku w końcu czerwca pochowano”. Historia Doroty z Mław, jej sposób dochodzenia do świętości dziś tchnie anachronizmem i budzi mieszane uczucia, lecz u współczesnych ofiara przez nią złożona z własnego życia budziła podziw. Przez wiele dziesięcioleci po jej śmierci licznie przybywali pątnicy z Pomorza i całej Polski, ściągający rozgłosem cudów, jakie za przyczyną niewiasty zmarłej w sławie świętości miały się dokonywać.

Ostatnim biskupem pomezkańskim był Eberhard Queis, który w początkach reformacji skwapliwie przyjął naukę Lutera, zapewne nie bez wpływu wielkiego mistrza, księcia Albrechta brandenburskiego. Napotkał jednak opór ze strony kapituły, która oskarżyła swego biskupa o przeniewierstwo wobec prawdziwej wiary przed królem polskim. Albrecht, już jako świecki władca i lennik Korony, w 1526 roku uwięził trzech najbardziej opornych kanoników i w ten sposób położył koniec Kościołowi katolickiemu w swym państwie.

Freski w katedrze kwidzyńskiej przedstawiały postacie 17 biskupów, którzy tu rezydowali. Z wyjątkiem jednego czy dwóch, wszyscy pochowani zostali w tej świątyni. Po sekularyzacji Prus dobra biskupie przejęte zostały na własność księstwa. W historii Kwidzyna jednak poprzedni okres był tak znaczący, iż utrzymane w herbie insygnia w pełni są uzasadnione.

W państwie pruskim Fryderyk II Kwidzyn został podniesiony do stolicy rozległej regencji w prowincji Prusy Zachodnie. Nie przywróciło mu to wszakże rangi ośrodka życia duchowego, jaką w pierwszych swych wiekach posiadał.

K.O.